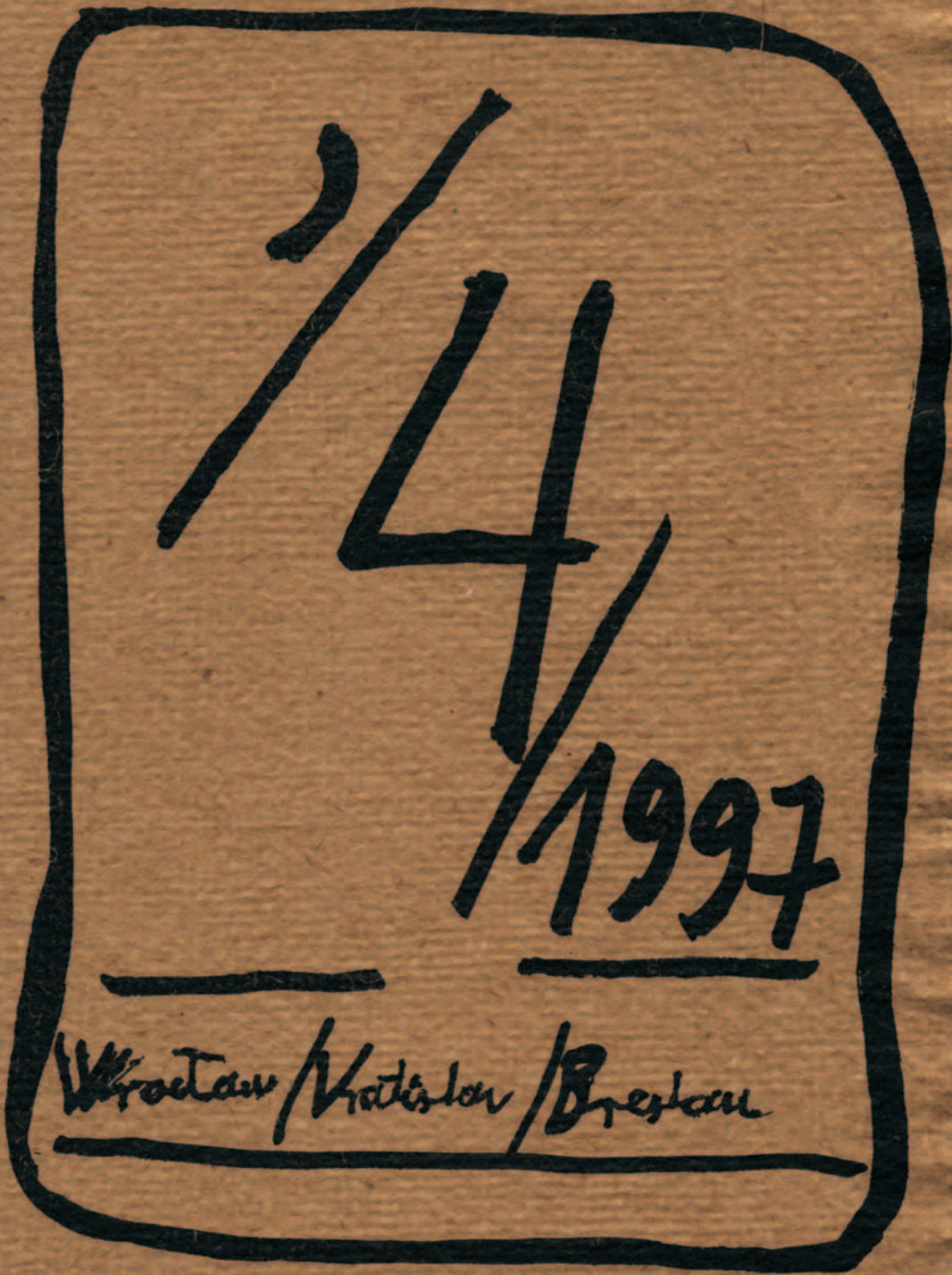
1/4/1997
Wrocław/Kraków/Breslau

TRZECI PUNKT DLA PLUTY!

Nie, to nie dla mnie (np. za trzy „Przecinki")... To dla Władysławy Pluty, grafika z Krakowa, mojego dalekiego krewnego (w XVIII w. nasi praszczurowie byli braćmi). Nakład znowu większy: 230 egz. I stron więcej: już 36! Oprócz próz i „Dziennika pisanego na kolanie" m.in. noty i przyczynki o Wisławie Szymborskiej, L. Buczkowskim, H. Berezie, O. Bartošu i B. Hrabalu. I notki o książkach.

Przecinek

Małe prozy i marginalia Jerzego Pluty

Wrocław – 1997, z. (-) 4 | **Redaktor: Piotr Czyżyk**

Seria I (minusowa): na prawach rękopisu *© Copyright by Jerzy Pluta * Wszystkie prawa zastrzeżone / All rights reserved * Zezwoleń na druk (lub tłumaczenia) udziela Jerzy Pluta, 53-533 Wrocław, ul. Zielińskiego 43 m. 10, tel. (071) 61 75 39*

Od redaktora

To ostatni zeszyt serii I; mam nadzieję, że tylko tej serii. Być może pojawią się następne serie, zapewne pod inną redakcją, bo Szef straszy mnie, że mogę zostać zwolniony ze stanowiska. Czy podpisał ze mną umowę? Nie. Czy otrzymuję za moją odpowiedzialną robotę jakiś grosz? Nie. Bo ponoć za mało się starałem: nie znalazłem mecenasów, nie załatwiłem jakiejkolwiek dotacji. Takie to podziękowanie... Gdy powiedziałem delikatnie Pryncypałowi, że gdyby nie miał nazwiska anonimowego, a jedynie nazwisko, to zapewne fundusze na *Przecinek* by się pojawiły, wtedy on się prawie na mnie obraził. Tak jak przepowiadałem: nie sprawdziła się „zasada wzrostu i przyrostu" *Przecinka*; co prawda każdy nr był grubszy, ale za to ukazały się tylko cztery.

Żegnam więc czytelników. Ilu ich było/jest? Nie wiem, najważniejsze jest to, że *Przecinek* **jest** i (jeśli świat będzie istniał, jeśli biblioteki nie spłoną) w przyszłości każdy będzie mógł po niego sięgnąć. Pryncypał nieraz cytował słowa Norwida o *korektorce wiecznej*, a zapomniał o korektorce teraźniejszej. Mimo wszystko żegnam czytelników z żalem: dzięki *Przecinkowi* i moje nazwisko pojawi się co najmniej w bibliografiach...

Oto mecenasi czwartego *Przecinka*: **US£UGI WYDAWNICZE**, 54-206 Wrocław, ul. Legnicka 156 m. 4, tel. (071) 51 63 19 (montaż komputerowy, odbitki korektowe); Amelia Żymła (papier czerpany z Dusznik Zdroju). Dziękuję/děkuji/danke!

Znowu mamy (habemus!) Nobla

Kto się spodziewał, że to właśnie Wisława Szymborska zostanie w 1996 r. laureatką Nagrody Nobla? Ja nie. Ona też nie; powiedziała, że cieszyła się, że od kilku lat była w gronie najpoważniejszych kandydatów. A teraz? Ludzie listy piszą, a Szymborską pocztowcy stemplem biją...

(więcej na s. 86)

...staroświecka jak przecinek...

Słuchałem programu III PR: o pierwszej, zamiast wiadomości z Warszawy, specjalny wysłannik donosi ze Sztokholmu, że właśnie akademiczka XY (zapomniałem nazwiska) ogłasza, że literacką Nagrodę Nobla dostała Wisława Szymborska. Wiwat Szymborska! Wiwat polska poezja! I ja się ucieszyłem, choć (przyznaję od razu) nie należę do zagorzałych wielbicieli tej poetki. Nobel to Nobel, było nie było... W naszej prasie od kilku lat wzmiankowano (jakby bez przekonania i rozeznania), że wśród czołowych kandydatów jest także Szymborska, natomiast niektóre gazety (a może tylko jedna) w tytułach podawały nazwisko Adama Zagajewskiego. Także w 1996 r. A tu... W 1994 r. jeden ze znajomych pokazywał mi plik wycinków z największych dzienników europejskich (m.in. *Le Monde*, *FAZ*, *La Stampa*), w których wśród kilkunastu najpoważniejszych kandydatów zawsze wymieniano poetkę z Krakowa. Zapewne nie wiedział ów miłośnik **Stu pociech**, że do Nobla Zagajewskiego zgłosił SAM Czesław Miłosz (wiadomo: noblista), a Szymborską – TYLKO Polski Pen Club... A od ćwierćwiecza mówiło się (nie tylko w Sztokholmie), że i Różewicz, i Herbert niemal „już witali się z gąską", a tu nagle laureatką została „ta trzecia"...

„Wielki poeta polski" – tak o Szymborskiej pisał 10 miesięcy przed ogłoszeniem werdyktu Akademii Szwedzkiej Michał Głowiński, i uzasadniał przekonująco. A potem, 10 grudnia 96, po raz pierwszy w telewizji polskiej mogliśmy oglądać na żywo uroczystość wręczenia przez Króla Szwecji dyplomu i medalu (czeku nie pokazano). Czytelnicy Szymborskiej świętowali... A jeszcze wcześniej do ataku przystąpili admiratorzy Zbigniewa Herberta: to on, ojciec Pana Cogito, bardziej się zasłużył, to jemu Nobel się należał! – pisali i krzyczeli (niekiedy obrzydliwie: nie ma sprawiedliwości, oto Nobla otrzymuje autorka wierszy socrealistycznych, a bojownik o Prawdę został pokrzywdzony, kto za tym stoi? itd.).

Nie dziwiły mnie ataki na Szymborską, w końcu żyjemy w wolnej już Rzeczypospolitej, lecz ich poziom: dotyczyły nie poezji, lecz przede wszystkim jej biografii. Owszem, Szymborska wydała 2 straszne tomiki socrealistyczne (**Dlatego żyjemy** – 1952, **Pytania zadawane sobie** – 1954), owszem, należała do PZPR (oddała legitymację w 1966 r.), owszem, pracowała u Machejka w *Życiu Literackim* (do 1981r.) itd. Ale przecież Nobla dostała za **znakomite wiersze**, powstałe po 1955 r. (buchalterzy natychmiast podliczyli, że napisała ich zaledwie – zaledwie! – ok. 200). A drugą Nagrodę Nobla powinna otrzymać za felietony z cyklu „Lektury nadobowiązkowe"... Nikt, kto ma jako takie pojęcie o poezji polskiej XX w., nie był tą nagrodą zaskoczony, choć przecież mogło ją dostać także kilku innych polskich poetów. Boję się jednak, że Szymborska zostanie (jak stało się to z Miłoszem) zaglaskana przez krytyków i badaczy. Jakoś nie ujawnili się krytycy i poeci, którzy są przekonani o wielkości tej poezji, ale do których ona nie przemawia. Doceniam (i cieszę się z Nobla), ale się nie entuzjazmuję poezją Szymborskiej. A przecież rozkoszuję się jej nutą ironii i autoironii, jakże kunsztowną, podziwiam jej mistrzowskie żonglowanie polskimi idiomami (czy można je w ogóle oddać w przekładach? czy tłumacze piszą jej wiersze na nowo?). Trapią mnie też wątpliwości, które w *Polityce* wyjawił o Szymborskiej Zbigniew Bieńkowski, chyba kilkanaście miesięcy przed śmiercią (niestety, nie wyciąłem tekstu). Ten znakomity znawca poezji wyznał, że wciąż nie wie, czy to genialna poezja, czy też może wielkie oszustwo. Jakoś tego głosu autora **Poezji i niepoezji** nie przypomniano, ale myślę, że warto o nim pamiętać. Także. Akademia Szwedzka wcale nie rozstrzygnęła tej wątpliwości: spierajmy się, lecz nie na poziomie zoilostwa lustracyjnego. Zakończę autoironicznym fragmentem z „Nagrobka" (z tomu **Sól** – 1962):

Tu leży staroświecka jak przecinek
autorka paru wierszy. (...)

. . . . . .

Przechodniu, wyjmij z teczki mózg elektronowy
i nad losem Szymborskiej podumaj przez chwilę.

Jest się nad czym zadumać, lecz nie nad losem Szymborskiej, lecz nad jej wierszami. Niedźwiedzią przysługę oddają jej teraz nie jej przeciwnicy, lecz krytycy hagiografowie. Ale mniemam, że poetka się przed nimi obroni: nowymi wierszami. Albo polemicznymi limerykami.

Teraz cię mamy

Mokre, jesienne liście (na asfalcie, na kamiennych, wyszlifowanych tysiącami butów płytach) nie są moimi przyjaciółmi, jestem prawie pewny: chcą mi podstawić nogę. Czyhają na mnie, jak kiedyś na smutnego włóczęgę skórki od banana w filmach Chaplina. To nie jeden liść, na przykład dębu czy brzozy, to nie kilkanaście liści, nawet nie kilkadziesiąt, lecz wszystkie liście półsenne, półzwiędłe, nie policzone, nie do pozbierania (musiałbym przed sobą pchać szerokie grabie: czy byłoby to możliwe?), obserwują mnie z wszystkich stron (mam na to niezbite dowody) i po każdym moim kroku szyderczo podszeptują: teraz cię mamy, jeszcze jeden krok, jeszcze dwa, a będziesz musiał pocałować jednego z nas, nie, nie w czoło, w usta, w otwarte usta, uważaj, uważaj, nieraz beztrosko zabawiałeś się nami, ot, zerwałeś sobie listek klonu i mówiłeś zwycięsko: to wachlarz kanadyjski, a teraz cię mamy: ukarzemy cię bez sądu i wyroku...

(97)

Od jakiegoś czasu

Od jakiegoś czasu – sam nie wiem, czy od kilkunastu dni, czy od kilku tygodni, na pewno od połowy kwietnia, gdy zakwitła magnolia, ostatnia z dziesięciu rosnących tu od ponad pół wieku – lubię przed obiadem siadywać na ławce na przystanku autobusowym i patrzeć jak co kilkanaście minut podjeżdżają wypacykowane reklamami autobusy. Drzwi (zazwyczaj czworo, niekiedy tylko troje) otwierają się zgrzytliwie równocześnie, pasażerowie wysiadają/wyskakują (zwłaszcza młodsi – już z drugiego stopnia), a czekający wchodzą bez pośpiechu, czasem widzę jak kierowca naciska czerwone guziki (przyglądałem się nieraz: wystarczy delikatnie przejechać palcem z góry na dół), drzwi się zatrzaskują: jedziemy. I tak na każdym przystanku. Na ławce zostaję tylko ja. A obok pies. Na pewno – jak mówią ostrożni kynolodzy – wielorasowy. Nie jestem znawcą psich ras: co prawda odróżniam jamnika od dobermana, owczarka niemieckiego od podhalańskiego, pudla od boksera, ale nie potrafię powiedzieć kim byli jego rodzice i przodkowie. Pysk ma nieco prostokątny, chyba po terierze (irlandzkim?), sierść czarną z białymi plamami na grzbiecie, przy ogonie i na przednich łapach, na szyi widzę skórzaną obrożę z zieloną (zapewne filcową) podkładką. Nieco chyba zastraszony, choć raczej zadbany, chyba nie jest jednym z tych bezdomnych, które widuję niekiedy między blokami i przy kublach ze śmieciami. Tamte same podchodzą i chętnie zjedzą z ręki kawałek bułki (cukierki też). A ten nazbyt dumny, nie zerka na mnie, gdy go zagaduję: na kogo czekasz, chcesz kiełbasy? Ja nie czekam na nikogo, choć nie mogę wykluczyć, że któregoś dnia wysiądzie z autobusu ktoś, kto wybrał się do mnie

właśnie, po prostu siedzę tu prawie godzinę, czasem dłużej, czasem krócej. A on? Też lubi sobie poleżeć obok słupka z rozkładem jazdy, albo posiedzieć na tylnych łapach i przyglądać się wysiadającym? Ja czasem mówię sobie tak: patrz, w autobusie tylko trzy schodki, wchodząc można się przytrzymać metalowego uchwytu, patrz jak swobodnie wchodzą nawet kilkuletnie dzieci, ktoś cię przytrzyma, pomoże, mógłbyś pojechać do parku Południowego, tam tyle buków i klonów, które tak lubisz. A on? Gdy czasem podrapię go za uchem, nawet nie zawarczy. Powiedz, na kogo czekasz, na pana, na panią, czy na suczkę? Zamiast biegać z innymi psami, obsikiwać drzewka, wywąchiwać cieczkowe zapachy, tracisz głupio czas: nie jesteś jeszcze stary, do emerytury ci daleko. Psiamać, pomachaj chociaż ogonem.

(97)

Ja latam, patrzcie, latam jak anioł

Na pustej ulicy, która jest chyba (tak mi się wydaje) ulicą Zwycięstwa w Gliwicach: idę prawym chodnikiem, z Rynku do dworca kolejowego, podskakuję, odbijam się lekko od betonowych płyt, odlatuję, lecę jak skoczek w dal, spadam delikatnie, nawet nie czuję dotknięcia, to chyba puchowe prostokąty, jestem boso (kiedy biegałem ostatni raz boso? trzydzieści osiem lat temu, ale ani razu na tej ulicy), znowu się odbijam, wiem, że fruwam, wcale nie spadam, lecę powoli kilkadziesiąt centymetrów nad wybrzuszonym nieco chodnikiem, to przecież jest most nad Kanałem Kłodnickim, zasypanym ponad trzydzieści lat temu (ale wciąż czuję smrodliwe wyziewy). Tu zaraz powinien stać parterowy budynek, półokrągły od ulicy, zwykły sklep z owocami i warzywami, nie widzę go, może został rozebrany (zajrzałem tu trzy lata temu: kupiłem dwie pomarańcze). Przede mną wciąż pusto, odwracam się i widzę dwie przestraszone dziewczynki: starsza kilkunastoletnia, młodsza chyba jeszcze przedszkolaczka, więc krzyczę do nich przyjaźnie:

– Ja latam, patrzcie, latam jak anioł!

Stanęły jakby się bały, że je uderzę, albo skrzyczę, że powinny być w szkole, a nie na głównej ulicy, jest słonecznie, tylko dlaczego wciąż tak pusto: ani ludzi, ani psów, ani tramwajów, ani aut nie widzę i nie słyszę.

Znowu się odbijam i lecę, lecę na pewno ponad metr nad chodnikiem. Nadal nikogo przede mną: muszę zdążyć na pociąg, nikt mnie nie widzi, kto uwierzy, nie mam wiarygodnych świadków. Gdzie dziewczynki? Odwracam się nazbyt pośpiesznie: pusto aż do Rynku, ale to już chyba studentki, starsza ma kolorową chustkę na głowie. A ta młodsza, chowająca się za siostrę (skąd wiem, że to siostry?) nagle wykrzykuje przedrzeźniająco:

– Latam-sratatam, latam-sratatam. A kaj mosz ogon, ty pieroński dioble?

Wysadzono dom, w którym mieszkałem dwa miesiące

Widziałem migawkę w lokalnym dzienniku telewizyjnym: najpierw pokazano zaniedbany, czteropiętrowy dom (i kilka sąsiednich), potem saperów zakładających ładunki wybuchowe, wreszcie usłyszałem huk i prawie natychmiast zobaczyłem walące się ściany, potem obłok pyłu, a po chwili kupę gruzu, sięgającą do pierwszego piętra. Tylko tyle. Domy zawadzają, trzeba było je usunąć, powiedział pułkownik w polowym mundurze, moi podopieczni znakomicie wykonali swoje zadanie. Obok most nad odnogą Odry: obok starego powstanie drugi, a nad dawnymi piwnicami będą przejeżdżać auta i tramwaje. Za rok, za dwa.

W pokoju na pierwszym piętrze mieszkałem tylko dwa miesiące: och, trzydzieści pięć lat minęło, a ja jeszcze dziś czuję stęchliznę (sprzed pierwszej wojny) na korytarzu, smród w ciasnej ubikacji, wciąż chłodzi mnie wiosenny chłód w północnym pokoju (z widokiem na przystanek tramwajowy, na pralnię na parterze w budynku naprzeciwko, który ocalał). Nie pamiętam już twarzy zgarbionej, zrzędliwej staruszki, która prenumerowała krakowski *Dziennik Polski*: kawałki gazety, równo pocięte nożyczkami, wisiały codziennie na gwoździu w ubikacji. *(97)*

Ani jednej czerwonej, tylko trzy biało-czerwone

Spokojnie jak w niedzielę: nie słyszę samochodów przejeżdżających ulicą, od której oddziela mnie pięciopiętrowy budynek, wyciszający ponoć hałas. Na podwórku, między wysokimi domami, też cichutko. Świętujemy?

Jak w niedzielę przed jedenastą: widzę idących na sumę, wszak to dziś święto Józefa Robotnika. Aż za spokojnie: radyjka nie porykują przemówieniami i hasłami, w telewizji nie było transmisji z placu Czerwonego. Ktoś tam słucha (dlaczego tak głośno) piosenki amerykańskiej: love me tender. Czy to znaczy: kochajcie mnie, dolarki? Na zielonym papierze przecież urzędowy napis: *This note is legal tender*... Za późno na naukę angielskiego: nie nauczyłem się ani rosyjskiego, ani francuskiego, ponoć niemiecki nie był mi wskazany, a trzeba było ingliszować od przedszkola. Ale w przedszkolu (tylko przez rok) uczono mnie polskiego i wierszyka „Kto ty jesteś"?, rodzice nie wiedzieli, więc mnie powiedziano, że jestem mały, choć wcale nie kurdupel.

Też wychodzę: na inspekcję. W czynie społecznym. Przed domem zaszczekał jamnik: zobaczył mundurowego, a to zwykły kolejarz, konduktor wracający z podróży do Szczecina. Znam tego rudawego jamnika: on pies na mundurowych.

Raportuję: w pobliżu naszych bloków nikt flag nie wywiesił. Co robią dozorcy? Kto im płaci? Także ja! Jest: pierwsza, przed wejściem do budynku państwowego, tuż obok tabliczki: HOTEL ASYSTENTA KLASZTOR. Biało-czerwona. Trzy

rurki, a tylko jedna zajęta. Gdzie się sztandary pochowały? Potem zauważam drugą, na balkonie prywatnego mieszkania, następnie trzecią obok szkoły podstawowej. A gdzie czerwone niczym robotnicza krew? Żeby choć ktoś powiesił jedną kardynalską. Kardynałowie też niecenzuralni? Ależ skądże!

Wreszcie się doczekałem: na skrzyżowaniu akurat zielone światło, nie zdążę przejść, już żółte, pulsujące. A za mną ostry głos kobiecy:

– Gdzie się pchasz, nie widzisz, ślepaku, że już czerwone?

(1 maja 97)

Burbiszki to pliszki?

Nigdy nie byłem w Burbiszkach. Nawet nie jestem pewny, czy istnieją naprawdę. I nie wiem w jakim to powiecie. Na pewno nie w kiejdańskim. Ot, gdzieś tam daleko na Litwie, właściwie na Żmudzi, już blisko granicy łotewskiej, zdaje się, że w powiecie poniewieskim, tam gdzie buki już nie rosną. Ale słyszałem o Pikiliszkach. Na moich mapach, przedwojennej i współczesnej, znalazłem takie nazwy: Rudziszki, Kozakiszki, Rakiszki, Kukuciszki, Ejgiszki, Barbiszki... Zaraz, zaraz: przypominam sobie, że kiedyś przejeżdżałem autobusem przez Liszki. Gdzie te Liszki: na Śląsku, czy na Pomorzu? Nie, chyba w bajkach: Burbiszki, Burbiszki, rude liszki w kurniku tyku tyku...

Za to znam niedoszłą dziedziczkę Burbiszek: majątek należał do jej dziadków, ona tam przyjeżdżała na wakacje z niedalekich Ejgiszek. Dwór dwupiętrowy mogę obejrzeć na zdjęciu zrobionym przed wojną: kilkanaście okien od frontu. Drewniany, nie wiem czy modrzewiowy. Przed pierwszą wojną obok dworu była szparagarnia. Nie ma już tego domu: po 1944 roku został rozebrany, rozkradziony: na sztachety, na słupy, na podpałkę. Rzeczka płynie nadal. Park zdziczał, ale ocalał, teraz (w znowu niepodległej Litwie) wpisany do rejestru zabytków przyrody. Przed wojną stały w parku dwa pomniki: Adama Mickiewicza i księcia Witolda Wielkiego, po wojnie już tylko Vytautasa. Co się stało z monumentem wieszcza Adomasa? Po 1944 roku kołchoz, a może sowchoz imienia, tak, na pewno imienia, którego teraz nikt już nie chce pamiętać. Ale pozostał we Wrocławiu stary plan majątku, sporządzony przez geometrę w 1913 roku (nie był to jednak geometra K.), można by go wydrukować jako egzotyczną grafikę. W latach trzydziestych przyjeżdżała ze Lwowa do wujostwa na wakacje letnie: musiała jechać pociągiem prawie trzy dni, okrężną drogą przez Kraków, Poznań, Gdańsk, Królewiec i Rygę. Ma gdzieś w komodzie dawny paszport litewski, gdzie także po francusku, że ważny na wszystkie kraje Europy, la Pologne exceptée. Czyli: z wyjątkiem Polski.

Burbiszki istnieją naprawdę? Burbiszki – kilo kiszki...

Jeśli nie zobaczę, to nie uwierzę. Zresztą po litewsku to i tak Burbiškis. *(97)*

Czyżyki (1)

0. Czyże są mniejsze od wróbli. W zimie zażerają się olszowymi orzeszkami. Takie pamiętam: żółtozielonkawe wróbelki przysiadujące wysoko na olszach, niektóre zwisające główkami w dół, radośnie się przywołujące czyż czyż, cziż cziż. Jednego czyżyka pamiętam do dziś: tego, którego ponad czterdzieści lat temu trzymałem w drucianej klatce, zajadał się konopnymi nasionami, skakał z pręta dolnego na górny, z górnego na dolny, czasem śpiewał – aż do dnia, gdy stojącą w kuchni na szafce klatkę zrzucił na podłogę kot... Do dziś szukam choćby piórka tamtego czyżyka: w snach, na ilustracjach w encyklopediach, w albumach ptaków. To nie ten czyżyk, nie te piórka...

1. Ostatni tramwaj po tej ulicy, przy której mieszkam od kilkunastu lat, całkiem zresztą przypadkowo, przejechał w lutym 1945 roku. Zostały szyny, których drogowcy nie zamierzają usuwać, bo złomu mamy dosyć; znikają nagle obok szpitala i nawet nie wiem, czy jezdnia została zalana asfaltem, czy też po prostu wyremontowana.

2. Upomina mnie znajomy z zagranicy: tyle razy cię prosiłem, pisz na maszynie, albo na komputerze (kiedy go sobie kupisz, zacofańcze?), nie mogę cię odczytać, wiem tylko, że jeszcze żyjesz, bo piszesz do mnie, poznaję twoje gryzmoły, to za mało, by twoje listy uznać za dzieła grafiki, pisz wyraźnie jak drukarka laserowa, skurczybyku na patyku!

3. Nie rozumiem, czego ty ode mnie chcesz... To co, że powiedziałam, że będę na mur beton, że wpadnę o szóstej? Przecież dopiero za pięć siódma. I tak siedzisz w domu, bo gdzież byś się wałęsał, gdy kropi, i tak nikt cię nie zaprasza, a ja nie wiedziałam, że będę musiała pójść na pocztę, a tam kolejki, mogłeś sobie poczytać, albo pogapić się w telewizor, to by ci się nie dłużyło, smutasie nieużyty.

4. Przechodząc w sobotę późnym popołudniem obok kościoła niemal się nie przejechałem (nie pierwszy zresztą raz) na rozsypanym ryżu. Nowożeńcom na szczęście, a mnie? Gdyby rodzina oblubieńców rzucała im na głowy złote grosiki, na pewno nie musiałbym się bać: chodnik przed bramą byłby wysprzątany solidnie. A jeden dukacik mógłby się zagubić gdzieś na boku. Dla mnie.

5. Upalnie, więc prawie wszystkie okna pootwierane: telewizory nadają wiadomości, radia piosenki w kilku językach, a oni się kłócą od kilkunastu minut, wszystko słyszę stereofonicznie:

– Nie, nie dotykaj mnie, nie dotykaj, chamie!

– Co to, kurwa, uważasz się za Jezusa Chrystusa, Pana naszego?

6. Na razie nie wyjeżdżam, na razie nie przyjeżdżam, na razie nie przyjeżdżaj, na razie nie sprzedawaj zielonego kapelusza, na razie do mnie nie pisz, bo jestem bardzo zajęty, na razie zapomnij, że mieliśmy pojechać w maju do Paryża, na razie uzbrój się w cierpliwość i naostrz nóż do chleba, na razie smaruj chleb rano cienko masłem, a wieczorem grubo margaryną, na razie i tym razem bądź zdrowa.

Tysiąc pierdołek o sadzeniu grochu (3)

27. Nawet nie wiem, kto tego ptaszka zrobił. Nie znam imienia i nazwiska, wiem tylko, że to kobieta. Zdaje się: po czterdziestce, ale to i tak nie jest tu istotne. Wiem tylko, że z kolorowych szkiełek powstają wizerunki świętych, ptaszki, zwierzęta, kwiatki, trójkąty, gołębice. Tylko na zamówienie. Gdy przez kilkanaście miesięcy robiła kilka witraży dla kościoła św. Franciszka (bodajże w Kłodzku), to najpierw zajęła się ptaszkami. Podobno złożyła z kolorowych kawałków aż kilkaset ulubieńców Francuzika z Asyżu. Nie wiem, czy nie wszystkie się spodobały proboszczowi, czy też po prostu nie zmieściły się w ramach, w każdym razie pozostałe jej na składzie ptaszki witrażystka sprzedawała później znajomym (i obcym). Nieco taniej, bo bez rachunku. Od znajomej artystki szklanego, płaskiego ptaszka kupiła M., podarowała mi go na urodziny, których nie świętuję, choć obchodzę, a teraz wisi w północno-wschodnim oknie. Na skrzydełku ma metalowe uszko, do uszka doczepiona została przez M. żyłka wędkarska, do górnej ramy przybity gwoździk.

Do południa świeci w tym pokoju słońce: codziennie z zadowoleniem, prawie z rozczuleniem, patrzę pod światło na cudacznego ptaszka. Takiego ptaszka nie ma chyba nikt. Hm, może tylko kilku, kilkunastu? Czasem zastanawiam się, dlaczego nie spodobał się zakonnikom. A może to są dublety? Ptaszki zastępcze? Głowę ma nazbyt wielką, jasnożółtą, oko czarne, a ostry dziobek – czerwony. Ogon trójkolorowy: zielony, jasnogranatowy i jasnoniebieski, kark i podgardle – lazurowe, piersi i brzuszek – kardynalskie, skrzydełka (lewe nieco rozpostarte, prawe prawie schowane) – pomarańczowe, a kuperek – jasnofioletowy. A gdzie nóżki? Schowane, więc niewidoczne. W wielkim atlasie ptaków nie znalazłem zdjęcia mojego cudaka, może źle szukałem, zresztą zdjęć kolorowych bardzo mało. Owszem, ostre dziobki wypatrzyłem; mają takie na przykład pingwiny królewskie, ale mój ptaszek nie jest pingwinem, oczywiście, to zapewne jeden z rajskich ptaków. Gdy pojadę kiedyś na Nową Gwineę, poszukam go na pewno. Jak śpiewa? Czy to samczyk?

Podnoszę głowę: rajski ptaszek wisi nieruchomo, ale muszę uważać. Gdy otwieram drugą połówkę okna, niekiedy wiaterek podejrzanie go huśta. Czy nie przygotowuje się do odlotu?

33. Jak zwykle zaczęło się niewinnie od przepytywanki.

– Gdzie masz ten guzik? – pyta M.

– Guzik? Jaki guzik?

– Przecież jasnoniebieski, od bluzki, schowałeś do kieszeni.

– A czemu ty nie schowałeś?

– Bo już wychodziliśmy na dworzec, a torbę miałam zamkniętą.

Tak, przypomniałem sobie: duży pokój na parterze w domu brata w Gliwicach, za pół godziny wsiądziemy do pociągu. Guzik? Schowałem go do brązowej torby. Albo do kieszeni? Szukam go w torbie, w jej dwu dodatkowych kieszonkach: nie ma. Nie ma też w czterech kieszeniach kurtki. Gdzie ja go włożyłem? Jeszcze raz sprawdzę, czy nie został w prawej kieszonce torby: nie ma, tam tylko szare koperty z tabletkami przeciwbólowymi, ściągnięte gumkami. Na pewno nie ma. A w portfelu? Aż sześć przegródek! Guzik w

portfelu? Hm, gdyby był ze złota... Nie ma, chyba mi wypadł z torby, gdy wyjmowałem podkoszulek i skarpetki, może jeszcze leży na tapczanie, albo na podłodze, albo potoczył się pod komodę. A może wrzuciłem go do słoiczka numer osiem? Od kilkunastu lat odkładam niepotrzebne guziki: zawsze mogą się przydać. Odcinam je od zużytych spodni, koszul, marynarek: mam już czternaście słoiczków po lekarstwach, dżemach, marynatach, a nawet po musztardzie. Każdy słoik inny. Kiedyś widziałem w sklepie duże słoje, w których wiele lat temu, gdy chodziłem jeszcze do szkoły podstawowej, trzymali sprzedawcy (ci nieuspołecznieni) cukierki i lizaki. A w pasmanterii spodobały mi się słoiki z guzikami. Może to były te po cukierkach? Och, ile guzików! Do koszul, do sukienek, do płaszczy. Do wyboru i koloru. Jedni zbierają znaczki pocztowe, inni monety, widokówki, fajki, karty telefoniczne, jeszcze inni na przykład filiżanki porcelanowe. A ja odkładam guziczki, nie wszystkie, tylko te ciekawsze, tylko te przeze mnie dotykane, noszone. Są jak stemplowane znaczki w klaserze: w dobrym stanie, choć już zbrukane, bezlitośnie wykorzystane i nieraz obmacane, to nic, że wykąpane i pachnące na przykład dżemem truskawkowym. Guziki drewniane, guziki plastykowe, guziki kościane, guziki metalowe (tych mam najmniej), guziki obszywane materiałem. Guziki dwudziurkowe, guziki czterodziurkowe. Guziki płaskie, guziki wypukłe. Na razie wrzucam, bez zastanowienia, do słoiczka, który akurat mi się podoba: oto małe białe guziki od koszul sypiają z dużymi czarnymi od marynarek, protestów nie słyszę, pochwał też nie. Kiedyś zapewne przygotuję katalog guzików z mojej skromnej kolekcji. W Niemczech, albo w Ameryce zapewne ukazują się takie katalogi, muszę to sprawdzić: w Polsce nie ma ani jednego. Szkoda, że nie notowałem do jakiej koszuli, do jakiej marynarki były przyszyte i jak długo były noszone.

– A gdybym ci dała sto dolarów do przechowania na drogę, to też byś zgubił?

– A gó, a guzik prawda!

– To dasz mi wreszcie ten guzik, czy nie? Bo sobie sama wezmę!

34. Kto to mówił (twardo, twardo!) 6 sierpnia 1939 roku pod kopcem Józefa Piłsudskiego w Krakowie? *Nie tylko nie damy całej sukni, ale nawet guzika nie damy*. Pamiętamy, pamiętamy: to głos podnosił przebrany w mundur marszałkowski artysta malarz, poeta niedzielny i admirator Zawiszy Czarnego. Oddał, oddał kilka tygodni później: i buławę, i guziki, i nazwisko, i grzyby, i śmigło (a potem podpisywał się na kenkarcie skromnie: Adam Zawisza). Podobno zażyczył sobie, bo pochowano go w cywilnym ubraniu, ale z wojskowym guzikiem z orzełkiem legionowym, czyli bez korony. Może to tylko złośliwe pomówienie, musiałbym (jak było naprawdę) zapytać jakiegoś poważnego badacza.

Kto to wykrzykiwał na trybunie w kwietniu 1995 roku na placu Józefa Piłsudskiego w Warszawie, że zbezczeszczona została pamięć pomordowanych w Katyniu Polaków? Bo oto na znaczku pocztowym, zamiast na przykład pomnika ofiar, którego wciąż na cmentarzu nie ma, czy choćby szabli, albo twarzy konkretnego oficera, nie są to bowiem groby nieznanych żołnierzy, przedstawiono wojskowy guzik leżący na ziemi. Guzik! Proszę państwa, guzik!! Czyżby tylko na taką pamięć zasłużyli nasi męczennicy – pytał dalej krewny jednego z zamordowanych – tylko na taką? Tam zostały sponiewierane ich kości, ich honor, tam zostały złamane prawa boskie i ludzkie, a teraz następnym pokoleniom ktoś mówi prześmiewczo: guzik po was pozostał... Kto odpowiada za to poniżenie zmarłych, za

poniżenie nas, żywych, ich krewnych, powinowatych i znajomych? To hańba! To nóż wbity w plecy naszej świętej pamięci!

A obok słucha na podium prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, premier, marszałkowie Sejmu i Senatu, posłowie, generałowie i kontradmirałowie, prymas i biskupi, a na placu kilkuset żołnierzy w rogatywkach, kilka tysięcy warszawiaków, natomiast przed odbiornikami radiowymi i telewizyjnymi kilka milionów obywateli. Widzę wyraźnie, jak prezydent łapie się za lewy guzik wytwornej marynarki: jest, czarny, gładki, a myśli sobie zapewne tak: nie oddam guzika, nigdy nie pozwolę, by zamiast mojego dostojnego oblicza (już przecież uwiecznionego na noblowskim znaczku pocztowym), przedstawiano go kiedyś po mojej śmierci. Na rocznicowym znaczku? Nikt nie odpowiada na te dramatyczne pytania, w programie uroczystości chyba w ogóle nie było punktu: odpowiedzi na zapytania poważne i retoryczne, a po drugie: nie było czasu na polemikę, bo już grała orkiestra wojskowa: oto rozpoczyna się uroczysta zmiana wart przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Nie patrzę na czerwone i niebieskie berety, na marynarskie czapki (nigdy takiej podobnej w dzieciństwie nie miałem), na wieńce z szarfami, bo szukam znaczka na listach. Mam: wojskowy guzik (wydobyty z grobu katyńskiego?). I zeschnięty, brązowy liść, trójkątny (a może sercowaty). Z jakiego drzewa spadł? Na pewno nie z dębu, buku lub klonu. Może z brzozy? Nie rozpoznaję gatunku drzewa, kiepski ze mnie dendrolog, a tym bardziej liściolog. To tak: na znaczku pocztowym zamiast wysokiej kolumny z bohaterem z szablą i krzyżem na szczycie – żołnierski guzik? Teraz ja pytam, choć nikt mnie do mikrofonu nie dopuścił: czyż może być piękniejszy znak pamięci i przestrogi niż ten anonimowy guzik?

39. Jem śniadanie: ot, nic nadzwyczajnego – jak codziennie najpierw posilam się miseczką owsianki, potem mam herbatę chińską z cytryną hiszpańską, rodzimy chleb czarny, wieloziarnisty, kawałek bułki z dżemem agrestowym, a także pół rolmopsa wędzonego. Jeszcze nie obudzony naprawdę: od ulicy dochodzi, wyciszony przez sąsiedni dom, szum samochodów, na nasypie przejeżdżają pociągi (widzę wagony tylko przez chwilę, gdy migają w prześwicie między ceglanymi budynkami szkolnymi), akurat podjechała na podwórze śmieciarka, trzaskają kubły, zgrzytają podnośniki, tam wysoko dekarze pokrzykują (od wielu dni remontują dach przedwojennego domu, podnoszą kominy). A tu... A tu brzęczy nad stołem pszczoła. Chce odlecieć, ale ślizga się po szybie, spada na stół, znowu usiłuje przebić szybę. Po cóż tu przyleciała? Po miód? Mam jeszcze pół słoika, prosto – jak czytam na etykietce – z gospodarstwa pasiecznego w Polanicy Zdroju. W kuchni i trzech pokojach nie kwitną u mnie kwiatki. Może przyleciała do mnie? Kto mi to powiedział: ale z ciebie ziółko? Zapewne zabłądziła. Czy ona pierwsza? Nawet osy, nawet trzmiele wpadają nieraz do pokoju balkonowego. Wokół naszego bloku kilka drzew, kilkanaście krzewów. Bez kwiatów. Pod moim oknem kilka młodych (kilkunastoletnich) klonów, może one ją skusiły? No tak, u mnie w kuchni całą noc i podczas śniadania okno uchylone, pszczółka pomyliła kierunek, albo przyciągnęły ją zapachy, albo cieplejsze powietrze, na dworze też przyjemnie, słonko oświetla pół stołu, będzie jak wczoraj upalnie.

Nie, nie posmaruję chleba miodem, nie będę pszczółki drażnił: ona chce przebić szybę, po prostu się pomyliła. Do jakiego ula poleci? Tu wokoło nie ma ogrodów, tylko domy, asfalty i bruki. Ale i trawniki z koniczynką. Gdzie też mogą stać ule? Co najmniej kilo-

metr na południe, tam ogródki działkowe. A ona naprawdę zabłądziła, czy też przyleciała na zwiady? Czy to awangardzistka? Brzęczy, brzęczy. Gdy fruwa, podganiam ją gazetą do uchylonego okna: nie widzi korytarzyka, ona wciąż chce przebić szybę. Zaraz skończę jeść, zamknę w kuchni okno, żeby otworzyć drzwi na balkon: pszczółka się zmęczy, spadnie na podłogę, potem zjedzą ją pająki... Właśnie: niech wejdzie do pudełka od zapałek. Udało się: ucichła. Już sobie podpowiada: koniec ze mną, nie przyniosę nektaru do ula? Na balkonie przycisnąłem pudełko do ucha: cisza. Gdy jednak wysunąłem szufladę, pszczółka odleciała prawie odrzutowo, w kierunku jarzębiny – i tyle ją widziałem. Leć sobie, leć, może jeszcze pożyjesz sobie kilka godzin, kilka dni, albo i więcej.

A jeśli kiedyś stanę przed bramą Piotra Klucznika, co wcale nie jest pewne, bo już kilka osób autorytatywnie mówiło mi, że trafię od razu do piekła, to co powiem, gdy zapyta on, czy spełniłem w życiu choć jeden, prawdziwie bezinteresowny, dobry uczynek, to co powiem? Chyba tak: 16 maja tego a tego roku, przed ósmą rano czasu warszawskiego, letniego, uratowałem przed niechybną śmiercią pszczółkę, robotnicę. A jego pomocnicy nacisną klawisze i na wielkim ekranie komputera pojawi się moja pszczoła, i ja wypuszczający ją z pudełka od zapałek (już zapomniałem, że z greckimi napisami i jednym łacińskim wyrazem: HERMINA). Widzę na ekranie dopisek: żyła jeszcze dwa dni, siedem godzin, dwadzieścia minut i siedem sekund. I usłyszę: możesz wejść?

5-letni Filip P. ilustruje/recenzuje arcydzieła swego 55-letniego wujka, Jerzego P....

Dziennik pisany na kolanie (a przepisany i uzupełniony na maszynie)

(Nie mieszkałem w „Marysieńce", nie paliłem maryśki, codziennie popijałem ciepłą „Marysieńkę" prosto ze źródła, kąpałem się kilkanaście razy w gorącej „Marysieńce", a w parku podziwiałem nagą Marysieńkę...)

Wrocław, 10 czerwca 1996, poniedziałek

(...) Nadal upalnie, to dobrze, tam przyjemnie, duży park, a ja tak nie lubię chłodnych, a zwłaszcza deszczowych dni. Mam już bilet do Jeleniej Góry. A dalej? Zobaczymy: albo czerwonym autobusem (muszę wreszcie spróbować, czy wejdę, jak kiedyś), albo taksówką. (...) M. już umówiona z drem N. w sobotę, podczas ostrego dyżuru, ma się zgłosić na operację woreczka żółciowego, od razu pójdzie pod nóż, kilka dni temu zrobiła zalecone jej badania. (...) Już spakowany. M. weźmie jednak walizkę, tę dużą, którą kupiliśmy w 1980 r. przed podróżą do Genewy i Paryża (cha: już tam chyba nie pojadę). Czy zamieszkam – jak mnie zapewniał dr WW – w pawilonie „Jaś", w pokoju jednoosobowym? To nie pokój ważny, mieszkałem w sanatoriach i w dwu- i pięcioosobowym, nigdy samotnie. Ale czy będę mógł ćwiczyć w basenie, czy wejdę do wanny, czy będę mógł brać masaże podwodne? A 13 czerwca kończę 54 lata. Dopiero? Albo już? Ot, ćwierćżycie, półżycie, połsen, ale jednak życie na jawie. Nie w niebie.

Cieplice Śląskie Zdrój, 11 czerwca 96, wtorek

Po dwudziestej odpoczywam. W pokoju jednoosobowym na drugim piętrze. Widok nie na Karkonosze, lecz na Jelenią – i tak nic nie widać, tylko nowe dachówki nie wykończonej przybudówki. A za ścianą, na korytarzu, ryczy telewizor: na cały regulator, bo akurat transmisja meczu piłkarskiego z Anglii. Nawet nie wiem, kto z kim gra. To Mistrzostwa Europy. Bez naszych sokołów... A myślałem, że tu odpocznę od telewizji. (...) Rano nie było niespodzianek: trzymając się uchwytów, wszedłem bez pomocy do autobusu. Jaka ulga, mógłbym już autobusem pojechać np. do Pragi – do pociągu nie wejdę (boję się, że wpadnę w szparę między krawędzią peronu a schodkiem wagonu, w szparę prawie ćwierćmetrową). Jechaliśmy do Jeleniej Góry prawie 3 godziny; potem taksówką do cieplickiego zdroju. Żadnych wzruszeń: stare źródło, park, „Dom Zdrojowy"... Już po raz trzeci tu jestem: po raz pierwszy przyjechałem w lipcu 1969 r. (wówczas w „Waryńskim IV"), potem we wrześniu 1973 r. w „Domu Zdrojowym". (...) Jutro po śniadaniu do lekarza. Stały rytuał... Sprawdziłem: nie będę mógł korzystać z masaży podwodnych: wanny za wysokie, a po drewnianych schodkach nie wejdę. No tak, cztery kabiny, a ani jednej dla niesportowców... Cóż, będę się moczył jedynie w wannie. I pił „Marysieńkę" (dziś wypiłem pół li-

W lipcu 97 r. pod drzwiami znalazłem ulotkę!

LIPIEC 1997

PIĆ WODĘ

ABY UNIKNĄĆ ZAKAŻENIA NALEŻY

TYLKO ZE ŹRÓDŁA!

1. Pić wodę tylko przegotowaną lub ze wskazanych przez służbę sanitarno-epidemiologiczną ujęć lub dezynfekowaną Pantocidem - 1 tabletka na 0,5 l wody.
2. Pić mleko tylko przegotowane.
3. Nie spożywać zalanych środków żywnościowych.
4. Myć bardzo dokładnie owoce przegotowaną wodą.
5. Myć często ręce mydłem, zwłaszcza przed jedzeniem i przystąpieniem do przygotowania posiłków.
6. Zachować drobiazgową czystość w ustępie. Myć ręce po wyjściu z ustępu.
7. Poddać się szczepieniom ochronnym, które chronią przed zachorowaniem.
8. W przypadku zaburzeń jelitowych oraz stanów gorączkowych zgłaszać się do najbliższej placówki służby zdrowia.

WOJEWÓDZKA STACJA SANITARNO-EPIDEMIOLOGICZNA
W WROCŁAWIU

tra), jak mi zalecił dr WW. Do stołówki na drugą zmianę: stolik w rogu, siedzę przy oknie, za oknem zwały węgla, obok węgla – kupy borowiny. W pokoju tapczan, stół, dwa głębokie fotele, umywalka z ciepłą i zimną wodą, nie ma krzesła, więc muszę pisać na kolanie. I radio. (...) Zmęczony, a raczej: oszołomiony (głowa pobolewa), będę musiał jakoś dać sobie radę. Schody, progi, kamienne posadzki, wykładziny: uważaj, uważaj! Winda czynna tylko do dziewiątej. Gdy M. odjeżdżała, grzmiało i lało.

Jelenia Góra Cieplice Śląskie Zdrój, 12 czerwca 96, środa

Tak chyba powinienem pisać, choć tu wszędzie (na tablicach ogłoszeń, na pieczątkach, na budynkach): Jelenia Góra-Cieplice. Z kreseczką. Nikt tu nie czyta/słucha prof. Miodka? A może to ja się wymądrzam? (...) Mam już kartę zabiegową, to od dziś najważniejszy dokument. Kąpiel mineralna, kąpiel perełkowa, gimnastyka i inhalacje. Basen skreślony: nie ma sanitariuszy, którzy by mi pomogli wejść. Byłem tam w podziemiach zobaczyć, jak to jest (zjeżdża się windą). Kamienna posadzka. Najpierw trzeba się umyć pod prysznicem, a potem po schodach zejść do basenu. Można by podjechać na wózku, a potem – korzystając z pomocy – mógłbym się zsunąć do wody. Tak mi poradziła dyżurna (akurat moczyły się dzieci). A jak wyjść? Po schodkach, jest poręcz, potem... Znowu u lekarki. Powiedziałem, że zapłacę za dodatkową pomoc. Ona, że to niemożliwe: nie ma w uzdrowisku ani jednego sanitariusza, było dwóch, ale zostali w ramach oszczędności etatowych zwolnieni kilka lat temu... Pielęgniarki w dyżurce też mi odradzały: owszem, są sanitariuszki w „Domu Zdrojowym", to może być niebezpieczne, kobiety są słabe, a łatwo się poślizgnąć, był kiedyś taki wypadek... To prawda, nie warto ryzykować. Potknąłem się w mieszkaniu, tak, i nogę złamałem osiem miesięcy temu. Myślałem: już nie wstanę, cóż by mi pozostało: wózek (teraz w kącie, niech stoi jak najdłużej), ale kość się dobrze zrosła, stanąłem na dwie nogi, znowu mogę się poruszać na czterech nogach... A z drugiej strony: kąpiel w basenie i masaż podwodny to najważniejsze dla mnie zabiegi. (...) Między drugą a czwartą – cisza, nikt się nią nie przejmuje, ale winda nie działa. Chcąc nie chcąc muszę się wyciągnąć na tapczanie. To nawet dobrze: nogi odpoczną. (...) Po kolacji dzwoniłem do M.: dojechała bez opóźnień, głosik radosny. Zadowolona chyba, że też odpocznie: teść w Kamiennej Górze, ja na państwowym wikcie. I będzie mogła pójść na operację. Ja w szpitalu uzdrowiskowym, więc nic nie płacę, tylko musiałem wykupić kilkuzłotową cegiełkę i polisę PZU. Tak, licho nie śpi, nawet krasnoludki mogą mi podstawić nogę, zwłaszcza na mokrej posadzce...

13 czerwca 96, czwartek

Pierwsza kąpiel. I inhalacje (wciągam przez ustnik gorące wyziewy – zerknąłem na termometr: 50 °C – nie wiem, czy ze źródła „Marysieńka", czy też „Jan Sobieski"). Mam na karcie zabiegowej dopisek lekarki: z opieką. Jest sanitariuszka, właściwie to – jak słyszę – oddelegowana na kilka godzin dziennie salowa z „Domu Zdrojowego", która pomaga nam (bo jeszcze dwom z „Jasia") wejść do wanny. W kabinie szerokie, drewniane krzesło z półokrągłym oparciem. Gdy już siedzę na krześle przy wannie, przytrzymuję się, jak w domu, lewą ręką uchwytu, siadam na brzegu wanny: już mogę włożyć lewą, potem prawą nogę i opuścić się do wody. Takie to niby proste: chlup, kąpielowa wytrze posadzkę później... Dziś perełkowa. Pierwsza, więc najprzyjemniejsza: z rurek leżących na dnie wanny wydobywają się gazowe perełki, masują przez kilkanaście minut nogi i kręgosłup. Potem rześki się czułem przez kilka godzin. Po kąpieli odpoczywam w pijalni: w środku sali cztery kurki, woda z czterech źródeł. Zaraz sobie przypominam hasło happeningowe Leszka Przyjemskiego: PIJ WODĘ TYLKO ZE ŹRÓDŁA! Wybrałem ciepłą „Marysieńkę", tę właśnie zalecił mi we Wrocławiu dr WW: najbardziej moczopędna, czyści nerki i pęcherz. Letnia właściwie, bez smaku, fluorkowo-krzemowa i *słabo zmineralizowana swoista* (jak wyczytałem w ulotce). To nie „Staropolanka" polanicka, niegazowana, którą pijemy w domu... Mam buteleczkę (0,33 l) po

napoju pomarańczowym: przed śniadaniem w pokoju wypijam jedną butelkę, po kąpieli drugą prosto ze źródła, po obiedzie (znowu w pokoju) trzecią... (...) Po obiedzie przyjechał z Jeleniej Góry H. Znamy się ze studiów, więc już ponad 30 lat. Od siedmiu chyba lat przyjeżdżam do niego w lecie, na kilka dni; teraz go nie odwiedzę, choć zaprasza na imieniny: mieszka na czwartym piętrze (bez windy), a ja tylko na pierwsze wejdę. Może by spróbować? Nie, jam nie ryzyk-fizyk... Razem jeździliśmy miejskim autobusem do Przesieki, Jagniątkowa, Michałowic. I do Prahy (w lipcu 1994 r. „U Zlatého tygra" nie zastaliśmy Hrabala), i do Liberca. We wrześniu 94 r. (jak mi opowiadał) H. zajrzał do „Złotego Tygrysa": Hrabal siedział sam, smutny, jakby nieobecny. H. poprosił go o autograf (miał przy sobie **Zbyt głośną samotność**), a pisarz tylko: nerozumím, nerozumím, wymienił H. i moje nazwisko i znowu usłyszał: ja vás nerozumím... H. położył obok kufla książkę i długopis: Hrabal machnął swoje nazwisko na karcie tytułowej. Było, skończyło się... Na zawsze? Na razie? Zaprasza mnie na swoją działkę, na kiełbaski z rusztu. Byłem tam w zeszłym roku – na Zabobrzu, pod Górą Szybowcową. Pochmurno, chyba znowu (jak wczoraj wieczorem) będzie padać. (...)

14 czerwca 96, piątek

Kąpiel mineralna: wanna długa, mogę się zanurzyć po szyję. Na dno wanny wkładam matę z przyssawkami, tak bezpieczniej, gdy wychodzę: nogi nie ślizgają się jak po lodzie... Sala gimnastyczna, ponoć chwilowo, nad pijalnią. Ciasno. Kiedyś była tu odpoczywalnia i sala telewizyjna, kiedyś, czyli ćwierć wieku temu, a może i rok temu. Nowa niegotowa, bo... Na miejscu dawnej, na parterze „Jasia", do której i ja chodziłem w 73 r., w budowie basen z cieplicą; a dwa lata temu brakło pieniędzy i wciąż nie ma ani porządnej sali rehabilitacyjnej, ani nowego, prostokątnego basenu. Nie ma mat, tylko kilka stołów do ćwiczeń, tylko kilkanaście przyrządów. Leżąc na stole podnoszę nogi, robię rowerek. Nogi na sznurku, sznurek wisi na krążku, na końcu ciężarki. Zaledwie kilkanaście minut, bo obok kilka osób czeka na moje miejsce. Nasermater z taką gimnastyką – jakby powiedział teść. (...) Dziś kartka do mnie. Urodzinowa. Od „pani młodszej" Ś. Czerwona róża na niebieskim tle (nieba?). Do niedawna sąsiadka z bloku, „sługa natury", jak to napisał któryś z niemieckich poetów. Od dwóch lat coraz słabsza, mimo trzech operacji, z miesiąca na miesiąc. Czy to? Tak, to... Bez dwóch zdań. (...) Chłodno. Wiszą ogłoszenia o wycieczkach, także do Pragi. Nie, nie pojadę, jeszcze nie mam odwagi. A poza tym: trzy godziny w jedną stronę, trzy w drugą, a nad Wełtawą zaledwie kilka godzin. Nie wiadomo, czy dostałbym parafkę pani doktor. Ale paszport mam... Może będzie wycieczka na przełęcz Okraj.

15 czerwca 97, sobota

Umówiłem się prywatnie z masażystą. Dziś sobota pracująca, niektórzy przyjmują, ja mam na karcie puste okienko. Chodzi o solidny masaż nóg i prawego barku – powtarzałem dwa razy. I był. Mogłem dostać – jak tu mówią niektórzy – na receptę, ale wybrałem inhalacje. Bo każdy kuracjusz może brać tylko 2 główne i 2 uzupełniające zabiegi, za pozostałe trzeba zapłacić (albo w biurze usług, albo do ręki). Ja do ręki. (...) Po kolacji dzwoniłem do wrocławskiego szpitala: M. już obudzona, powiedziała pielęgniarka. Akurat rano przeczytałem w *Słowie Polskim*, sprzed kilku dni, które dał mi H., o śmierci pacjentki w legnickim szpitalu po operacji woreczka żółciowego...

16 czerwca 96, niedziela

Dziś przeszedłem w parku prawie kilometr. Z przystankami. Zresztą ławek tu nie brakuje. Za klubem zdrojowym (do którego nie mogę wejść, bo przeszkadzają mi trzy wysokie schodki bez poręczy; kiedyś była tam również czytelnia czasopism, teraz tylko restauracja z dancingiem) siadam na ławce środkowej: gapię się na karkonoskie szczyty. Tak, w środku to Mały Szyszak, widoczny także z ławki obok fontanny z nagą, kamienną, nieco za grubą Marysieńką. Śnieżki stąd nie widać. Ani Mont Blanc. (...) Dzwoniłem do M.: mogła już podejść do telefonu. Osłabiona. Jutro zostanie

wypisana do domu. Już? (...) Za dużo w Cieplicach tej Marysieńki... Czy ktoś z kuracjuszy wie/ pamięta, jaką chorobę leczyła tu Marysieńka Sobieska? W 1969 r. podczas pogadanki dowcipkujący stary doktor powiedział, że dokładnie nie wiadomo, na co się skarżyła Marysieńka kochana, ale prawdopodobnie leczyła dokuczliwą od lat... Tak, tak, Francuzka leczyła francę. A niedawno przeczytałem gdzieś u prof. Tazbira, że królową zaraził wenerycznie jej pierwszy małżonek (czyli wojewoda kijowski?). To taki syf? Marysieńka przebywała w Cieplicach w 1687 r. Z córką, z dwoma synami, z ojcem markizem de... I z ponadtysięcznym orszakiem. Krótko tu przebywała, nie wiadomo ile tygodni, chyba nie kilka miesięcy, lecz kilka tygodni; gdy dostała wiadomość, że Król Jegomość zachorował, to natychmiast opuściła Cieplice. A teraz ma dom swego imienia, źródło, wodę stołową... Czy nie za dużo rydzyków w jednej studni?

17 czerwca 96, poniedziałek

Perełkowa. Słonecznie... Po prostu odpoczywam, piję „Marysieńkę", spaceruję po parku, codziennie „widzę stąd Karkonosze". To i tak wiele... Jeszcze pożyjesz – pisał kiedyś Bułat Okudżawa. Chyba. Przyjmuję – jak mówi teść. Po obiedzie nieraz pyta mnie, czy przyjmujemy? Przyjmujemy. Tak mówiono w Stanisławowie, we Lwowie chyba też. Jak to w tym powiedzonku baciarskim? NIE MDLIJ GŁODU, PIJ WODĘ, WODA DAJE SIŁĘ, MŁYNY PĘDZI... (...) Nie kupuję gazet, przejrzę je w domu. M. odkłada je na biurku, nie oglądam telewizji, nie pożyczam książek, muszę odpocząć od papierów... Mam radio w pokoju i wiem, co się dzieje poza Cieplicami: to, co zawsze. Spotkania na szczycie i na parterze, wypadki, katastrofy samolotów i pociągów. Jakoś nie widuję tu wielu kuracjuszy z gazetami; z książkami spotkałem chyba czterech. Też się, jak ja, odtruwają? A może nigdy nie byli zatruci.

18 czerwca 96, wtorek

Dzwoniłem do M. Przebywa już u „pani starszej" Ś. Czuła się wczoraj kiepsko, ale lekarz powiedział, że zostaje wypisana (...). Tuż pod wieczór – burza. Bez piorunów. Po śniadaniu kąpiel mineralna: najmilsze minuty w ciągu dnia. Jak to mówią niektórzy kuracjusze? Kąpiele być może nie pomogą, ale też nie zaszkodzą, wychodzimy z wanny czyści. Dziś doszedłem do końca parku: dalej można dojść do wałów, skąd widać panoramę Karkonoszy (i Śnieżkę też – podziwiałem ją stamtąd w 1969 r.). Za kilka dni pójdę aż do kamienia poetów, tak go nazwałem, bo w tym miejscu spotkali się (zapomniałem w którym roku, zresztą jest tablica) Ujejski i Pol. Czy to nie Pol napisał?

W góry! w góry, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię!

Chyba on. Ale nie założę się o sto dolarów. Chyba do wałów nie dojdę. I tak lewa noga mi puchnie. Gdybym miał skrzydełka jak orzeł, poleciałbym na Śnieżkę...

21 czerwca 96, piątek

H. zaprasza mnie na pieczone kiełbaski. A ja przepadam za pieczonymi nad ogniskiem kiełbaskami! Nie jestem pewny, czy pojadę, bo się ochłodziło, zachmurzyło, właściwie to tu lato w ogóle nie przyjechało. Gdzie lato? W Grecji. Wczoraj prawie cały dzień kropiło, nie mogłem pójść do parku, boję się stąpać po mokrym asfalcie. A powinienem chodzić codziennie co najmniej dwa, trzy kilometry. Wciąż za mało, bo niecały kilometr. W południe lało (...). Który to raz jestem u wód? Pytał mnie tu ktoś podczas obiadu kilka dni temu. Policzyłem: po raz 16! Pierwszy raz byłem w Lądku w grudniu 1960 r. (tam potem jeszcze trzy razy). Raz w Inowrocławiu, Nałęczowie, Solcu, Iwoniczu, Świeradowie, Pieszczanach (na Słowacji). I trzy razy w Ciechocinku. I pomogło panu? – pyta sąsiad od zupy. Zawsze, choć tylko na kilka, kilkanaście miesięcy: jeszcze się poruszam... Nieraz myślałem, że może wodolecznictwo to oszustwo, ot, takie placebo, a zarazem to takie perpetuum mobile: kiedyś tam odkryto źródło, więc uzdrowisko musi działać, nawet gdyby brakło wody

(borowinę i tak przywozi się z gór). Nie, nie będę świadkiem oskarżenia: klimatyka również ważna... Ale powietrze też tu zanieczyszczone.

23 czerwca 96, niedziela

Pada. Wczoraj też lało cały dzień, że nawet nie wychodziłem z sanatoryjnych budynków. W południe było tylko 13 °C. Dobrze, że wziąłem sweter. (...) W piątek jednak zdecydowałem się pojechać autobusem „7" do końca, pod Górę Szybowcową. Na działkę tylko 500 m. Na miejscu okazało się, że ktoś wyłamał zamek w domku, w którym H. trzyma narzędzia ogrodnicze. Nic chyba nie zginęło, zapewne szukali wódki, mówi zdenerwowany H. Zjadłem dwie kiełbaski pieczone na patyku śliwkowym. I pół „Vratislava" wypiłem. Z działek widać i Góry Izerskie, i Kaczawskie. To tam, pyta H., w Kaczawie urodził się i chodził do szkół Piotr Czyżyk? Chyba tak. (...) Dzwoniłem do M.: była w ambulatorium na kontroli, wszystko w porządku, czuje się prawie normalnie. Prawie. Mówiła, że być może do Cieplic wybierze się w sobotę D. Z księżniczką Bereniką. On tu powinien przyjechać na kurację: reumatyków tu najwięcej, kilkuset, paralityków tylko kilkunastu, mógłby korzystać i z basenu, i masażu podwodnego, i okładów borowinowych. Na razie łyka tabletki i mówi, że niewiele mu pomagają.

25 czerwca 96, wtorek

Marznę od 2 dni. Śpię w swetrze, bo kołdra cieniutka, a koc z anilany. Gdy słonecznie, to przyjemnie: mogę spacerować po rozległym parku, posiedzieć przy fontannie, posłuchać nieustannych paplań o chorobach, dzieciach i wnukach. Wszystko tu ustalono za mnie bardzo szczegółowo: godziny posiłków (nie wolno się spóźnić, bo się dostanie zimną zupę), kąpieli, ciszy poobiedniej i nocnej. A bez okularów widać, że uzdrowisko (jak cała służba zdrowia) w rozkładzie: nic się tu właściwie nie zmieniło od mojego ostatniego pobytu w 1973 r. Jeśli coś, to na gorsze. Ale machina musi działać: i tak zwolniono wiele pielęgniarek i kąpielowych (zresztą zdziwiłem się, że nie udają już księżniczek), kuracjuszy przyjeżdża mniej, nie ma od kilku lat sanatoriów FWP, kiedyś w turnusie w Cieplicach kurowało się prawie 1000 osób, teraz chyba tylko 500, ale nadal co 24 dni przyjeżdżają nowi... Kto wyłoży grube miliony nowych złotych? Na remonty, na rozbudowę. Uzdrowisko wciąż – żaliła się jedna z kąpielowych – jest przedsiębiorstwem państwowym (a ponadto ma ceny urzędowe, ustalane w Warszawie), a nie placówką służby zdrowia... Przyjdzie Niemiec i wykupi – ktoś dopowiada. Niektórzy kuracjusze bardzo dociekliwi, wszystko wiedzą. A to słyszę, że dyrektor, podobno były krasnoludek, boi się zmian, bo chce spokojnie doczekać emerytury, że pieniądze Narodowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych wykorzystano na budowę nowego basenu (dla sportowców, ktoś dorzuca). I dlatego nie mogę korzystać ze starego basenu, bo nie ma podnośników? Ale cieplic nie brakuje, geolodzy odkryli nowe źródła – na głębokości tysiąca i więcej metrów. A źródła znane od XII wieku: wód u wód pod dostatkiem, milion razy więcej niż wody czystej lub gatunkowej.

29 czerwca 96, sobota

Już nastroik prawie wyjazdowy. Ja też wiem, kiedy pojadę: autobusem pośpiesznym po 18. (...) We wtorek H. namawiał, byśmy pojechali do Przesieki, ale nie miałem ochoty (pogoda kiepska, z parku nie było widać Karkonoszy). (...) W parku Zdrojowym codziennie przesiadują miejscowi pijaczkowie. Raczej nienachalni, nie zaczepiają kuracjuszy, po prostu piją piwo, wino w swoim kręgu. (Za to boję się nastoletnich wrotkarzy i kolarzy: kilka razy omal mnie nie przewrócili). Jeden brodaty po czterdziestce kilka dni temu przez całe popołudnie grał na akordeonie i śpiewał w kółko:

Niech żyje wolność i zabawa!
I młoda dziewczyna!

Siedząc na ławce naprzeciwko i ja usłyszałem jak podpita kobieta spierała się o coś z mniej podpitym (prawie) sztajmesem.

– Kto ci to pieprzył? Ten w okularkach?

– No, ten profesorek w okularkach.

– Trzeba mu najebać!

A na murze domu przy ul. Wojciecha Tabaki takie wielkie litery (czerwona farba na szarym tynku): STALIN BYŁ KOBIETĄ. A nieco dalej wyblakłe, chyba jeszcze z czasów stanu wojennego, przypomnienie: *Polacy to my!!!!* Aż cztery wykrzykniki.

1 lipca 96, poniedziałek

Wizyta u pani doktor, która musi wypełnić „historię choroby". Czy pan zadowolony z kuracji? – pyta znudzonym głosem. W 75% – mówię. Teraz ona niezadowolona, że ja nie całkiem zadowolony, choć właściwie zadowolony. Coś mi mętnie tłumaczy, że uzdrowisko (mimo oficjalnego oddłużenia) na minusie, nie ma pieniędzy na inwestycje, tyle razy mówiła, na basenie powinni być sanitariusze, ale dyrekcja nie słucha głosów lekarzy, nie chce się już denerwować. (...) W sobotę znowu pojechałem na kiełbaski do H. Kropiło. Siedzieliśmy pod parasolem (także dwoje jego znajomych, poniekąd i moich): gadu gadu, a dym w oczy... (...) Dzwoniłem do M.: będzie na mnie czekać na dworcu autobusowym. Oglądałem w telewizji mecz piłkarski Czechy – Niemcy; niestety, Czesi przegrali, Niemcy mistrzami Europy, ale mało mnie to obchodzi. Nikt się nie cieszył, tylko jeden połamany górnik, mój ziomek z Bytomia.

3 lipca 96, środa

Dziś ostatnia, piętnasta kąpiel. Wypiłem już 22 litry „Marysieńki"! Trochę się podkurowałem: jeszcze się ruszam, jeszcze... Niespodziewanie po obiedzie pokazało się słonko. Gdyby H. pożyczył auto, to moglibyśmy pojechać na przełęcz Okraj i zajrzeć na godzinę do Czechów. Ale on ma jedynie motocyklowe prawo jazdy. W technikum weterynaryjnym do niedawna uczył także łaciny. A jak po łacinie motocykl?

Cieplice Zdrój, 4 lipca 96, czwartek

Po śniadaniu: spakuję się po obiedzie. Co to za pakowanie, po prostu wrzucę wszystko, co mam, do walizki. A potem... Ani jednego zdania do *Przecinka* nie napisałem: kolano i długopis nie zastąpią solidnego biurka i maszyny do pisania. Słuchałem, słuchałem, ale czy zapamiętam? Ale mam nieco więcej sił, to najważniejsze. Jeszcze pochodzę tu i tam, tędy i owędy. Może kiedyś i ja pospaceruję po Wielkim Murze? I jeszcze raz zobaczę w Wersalu rzeźbę „Źródło", która chyba zainspirowała sto lat temu cieplickiego autora „Marysieńki" (nie, raczej: Lorelei)?

Wrocław, 5 lipca 96, piątek

Bez niespodzianek: H. niósł walizkę do czerwonego autobusu, potem czekaliśmy na pustawym dworcu PKS-u prawie godzinę. Trochę się H. niecierpliwił, bo pod Ratuszem czekała na niego córka z rocznym Szymonkiem. H. wtaszczył walizkę – i do domu... Na pożegnanie upalnie prawie, że wcale nie chciało mi się wyjeżdżać. A tu? Tylko kilka mało ważnych listów na biurku, gazety czerwcowe, kilka nowych książek... W dużym pokoju nowe obicia tapczanu i fotela. Na balkonie kwitną kolorowe kwiatki: czerwone, fioletowe i żółte. Wrzeszczą dzieci. Wilczur zaszczekał. Czy ktoś zauważył, że mnie nie było? A któż by? Może listonosz? M. mówiła, że zostawił trzy awiza; zawsze mu otwieram, więc zapewne się zdziwił, że nikogo nie ma, mimo że naciska guziczek aż dwa, trzy razy.

Gdzie Bruno? W czyśćcu literackim. Gdzie Zdzisio? Chyba w Ameryce

W październiku 96 r. jedna z poznańskich agencji telewizyjnych przygotowywała dla Telewizji Edukacyjnej programu I TVP film dokumentalny o Ryszardzie Milczewskim-Brunie. I mnie poproszono o krótką wypowiedź. Nie wiem, co „mówiłem w telewizji", bo nie widziałem audycji: nie znałem daty emisji. Wiem tylko, że audycja została nadana (pod koniec listopada 96 r., po 14), bo oglądał ją jeden z moich braci; i potem powiedział mi, że długo i mądrze mówił profesor z Torunia (to Janusz Kryszak). A później zastanawiałem się: co też zapamiętali główni adresaci programu, czyli uczniowie szkół średnich? Czy wiedzą, że Grechuta śpiewa wiersz Bruna „Gdzieś w nas"? Czy w ogóle przedtem słyszeli o wierszach Bruna? Coraz bardziej jestem (jak mawiano dawniej) oderwany od rzeczywistości i nie wiem, czy w najnowszych antologiach (a ukazało się ich po 1989 r. chyba kilkanaście) są teksty Bruna, czy jego nazwisko pojawia się w opracowaniach polonistycznych. Ale od czasu do czasu dochodzą do mnie echa czarnej legendy Bruna, niestety, przysłaniającej wciąż jego wiersze.

Przed wizytą ekipy telewizyjnej zajrzałem znowu do moich grubych teczek z rękopisami, wycinkami, rysunkami Bruna. A ponadto ponad 400 listów Bruna śpi w komodzie. Więc to już tyle lat minęło od śmierci RMB (od maja 1979 r.)? *Dam znać!* – dodawał nieraz w listach. Znaki zostawił, przede wszystkim w wierszach, które nadal i wzruszają, i oburzają. I one zostaną, nie są to bowiem „wiersze gładkie". Oczywiście, są wśród nich i takie, które się zestarzały, albo są po prostu mało zrozumiałe, nazbyt unieruchomione w czasach, w których powstawały, żyjemy przecież naprawdę w innej epoce. To nic, że nie ma w księgarniach wyboru wierszy Bruna, kiedyś na pewno się pojawi. Najważniejsze, że w bibliotekach trzytomowe dzieła Bruna (**Poezja. Proza. Listy**, Wwa 1989). *Nikt nie zna dróg do potomności* – pisał poeta, którego odkryli naprawdę dopiero praprawnukowie. Każdy zmarły poeta zawsze ma szansę odrodzenia: u przyszłych czytelników. Wierzę, że Bruno też.

W teczce znalazłem m.in. zdjęcie rysunku Zdzisława Sobockiego „Bruno". Poeta dedykował mu wiersz „Koniec końców" (**Podwójna należność** – 1972). W latach 50. uczęszczali razem do Ogniska Plastycznego w Grudziądzu: Bruno zajął się później przede wszystkim literaturą, Zdzisio – obrazami, rysunkami i akwarelami. Pod koniec lat 80. Sobocki wyjechał do Austrii, potem do USA. Napisał do mnie (chyba na początku 1989 r.) z Chicago; prosił, bym mu przysłał „czytelnikowskie" dzieła RMB, że może mi przekazać złotówki lub dolary. Odpisałem, by przekazał na moje konto 5 dolarów, to będzie miał pewność, że dzieła Bruna otrzyma. Potem już się nie odezwał (może się obraził, a może mój list do niego nie dotarł). Mam nadzieję, że ma w Ameryce wiersze Bruna, czasem może sobie przeczytać „Koniec końców", a tam i takie obrazoburcze wersy:

O, tak na wznak w gwiazdach lgnąć
i pluć na dodupny świat – –

„Murza" Leopolda Buczkowskiego w Nowym Jorku

Rzeźby w drewnie Leopolda Buczkowskiego są chyba najmniej znane. Jeśli rysunki, obrazy i grafiki autora **Urody na czasie** były publicznie (choć rzadko) pokazywane, to jego rzeźby można było zobaczyć jedynie w jego pracowni w Konstancinie (kilka zdjęć rzeźb znajduje się w **Prozie żywej**). Są to zazwyczaj wyciosane siekierą i dłutem postacie/popiersia, z różnymi niedrewnianymi dodatkami (np. widziałem „Madonnę katyńską", która na głowie ma wianek z drutu kolczastego). Kiedyś pisarz wspominał, że niektóre, stojące obok domu i w pobliskiej szopie– pracowni, po prostu mu ukradziono. Nie wiem, ile tych rzeźb-kolaży powstało (jedna stoi (?) na grobie matki warszawskiego literata B.) i gdzie się teraz znajdują.

Jedną z mniejszych rzeźb jest „Murza", znana mi tylko z kolorowych fotografii, które wykonał w 1996 r. Aleksander Jałosiński w Nowym Jorku. W *Przecinku* fotki wyglądają jak czarno-białe grafiki, ale jednak coś można zobaczyć... Dlaczego „Murza"? Otóż Buczkowski uznał, że jest to portret poetki i dziennikarki Haliny Murzy-Stankiewicz, która nieraz bywała w latach 70. w Konstancinie (przeprowadziła z pisarzem kilka wywiadów). Stankiewicz drukowała wiersze w prasie i m.in. w almanachu **Pomosty II** (1969), współpracowała z *Poezją* (cykl wywiadów z najwybitniejszymi poetami, m.in. z Z. Herbertem). W 1981 r. rzeźba Buczkowskiego pojechała z nią do Nowego Jorku: codziennie (teraz: Mrs Klein) może podziwiać swój – jakże nietypowy – wizerunek. W USA Murza wydała zbiorek wierszy, współpracuje z *Przeglądem Polskim*, dodatkiem kulturalnym do *Nowego Dziennika*, w którym ukazują się jej wiersze, miniatury prozatorskie i wywiady. Na fotce pierwszej widzimy w nowojorskim Bryant Parku Murzę z „Murzą"...

Leopolda Buczkowskiego przeczytają uważnie „wcześni prawnukowie"?

Tytuł tej noty nie jest wcale dziwaczny; po prostu prozę Buczkowskiego zaczynają się fascynować „wcześni prawnukowie". Norwid liczył na „wnuków", Buczkowski być może zostanie na nowo odczytany przez „prawnuków". Jednym z nich jest zapewne Sławomir Buryła, toruński polonista. Jego szkic „Los nowatora" (*Przegląd Artystyczno-Literacki* 1997, nr 4), a także (przeczytany w maszynopisie) tekst o wojennych dziennikach Buczkowskiego, skłania mnie m.in. do postawienia takiego pytajnikowego tytułu. Słusznie pisze Buryła: *Twórczość Buczkowskiego wymaga dokładnego zbadania. (...) Wiele wyjątków tej prozy pozostaje ciągle w maszynopisie. Te zaś, które ukazały się w druku nie są opracowane przez literaturoznawców.*

Nikt na przykład nie zajął się poetyckimi próbami Buczkowskiego. Badacze nawet nie ustalili, kiedy i gdzie autor **Wertepów** debiutował. W **Literaturze polskiej** (t. 1, Wwa 1984) podano, że *w 1929 debiutował wierszem „Lato" (...) w „Gazecie Polskiej"*. Swego czasu przewertowałem dwa roczniki (1929, 1930) *Gazety* i wiersza Buczkowskiego nie znalazłem. We **Współczesnych polskich pisarzach i badaczach literatury** (t. 1, Wwa 1994) czytam, że debiutował wierszami „Lato" i „Upał" w *Gazecie Polskiej* w 1936 r. (nr 263) pod pseudonimem Paweł Makutra.

Co się stało z archiwum literackim pisarza? 4 stycznia 1997 r. napisał do mnie ze Splitu syn pisarza, Tadeusz Buczkowski: *Otóż część przekazałem Muzeum Literatury, a część jest tu, ze mną. Dosłownie parę dni przed wyjazdem (...) odnalazłem kilkadziesiąt wierszy Ojca, wierszy, o których nikt nie wiedział... Pochodzą z lat trzydziestych, czterdziestych i wojennych, pisane ręcznie i na maszynie. Może to kiedyś kogoś zainteresuje. Na razie ofiarowuję Panu jeden wraz z zezwoleniem na opublikowanie w „ ,"*. *Wiersz pisany na maszynie, niedatowany.*

Kopeć knota
(ręcznie dopisany drugi tytuł: **Paskarz***)*

Kopeć knota.
Oczy koloru złota,
Przeliczanego nocą.
Uśmiech jak wanna,
Nieustanny...
Jak pleśń
Sutanny,
wargi się pocą
Serce
byczy skok
A o kroku
dajcie spokój!
Porodnica,
Szwy,
Wytryski,
a zakogucanie –
Sapaczka!
Gdyby się trafiały dziewicy –
Wal
Pan
Stemple
W piwnicy...

I dalej Tadeusz Buczkowski dodaje: *W ostatnim „ ," jest list pewnego pisarza, który odwiedził grób Rodziców. Jest w nim zdanie „dom zamordowano" – ja natomiast używam zdania „dom docelowo zamordowano". (...) Zwyciężyła zawiść, zazdrość, chamstwo i koltuneria. (...) Co do grobu, to on sobie taki jest i taki zostanie. Opiekuje się nim kilka osób i bardzo często jest odwiedzany. (...) Krzyż zrobiłem ja, w pracowni naszej, z dębaka, którego spuściliśmy z Ojcem jakieś trzydzieści lat temu. (...) Każdy kamień nagrobny jest nieporozumieniem. (...) A rzeźba drewniana zniknęłaby we mgle cmentarnej jeszcze tego samego dnia, kiedy byłaby postawiona... CZY PAN WIE, ŻE W BRODACH POWSTAŁA W MUZEUM OKRĘGOWYM IZBA LEOPOLDA BUCZKOWSKIEGO???!!!*

Wiem, od warszawskiego buczkowskologa, który w liście (z 13 XI 96) dodaje, że *jest też w Warszawie ukraińska doktorantka, która najbardziej interesuje się „Wertepami"*. Natomiast syn

pisarza dopowiada, że jeden z warszawskich profesorów polonistów odwiedził pod koniec 1996 r. Nakwaszę i Podkamień, *gdzie są jeszcze ludzie, którzy pamiętają rodzinę Buczkowskich i samego Leopolda*. Podarowano mu krzew kaliny, by posadził go na grobie autora **Czarnego potoku**. I tak się stało: podolska kalina znad górnej Ikwy rośnie pod Warszawą.

Panie, jak dojechać na ulicę Anioła Ślązaka?

Stałem na przystanku tramwajowym, gdy podszedł do mnie starszy mężczyzna i zapytał, czy wiem, jak dojechać na ulicę Anioła Ślązaka, nikt tu nie wie, a on nie chce brać taksówki, skoro jeździ tramwajami za darmo (panie, ja już mam osiemdziesiątkę!). Anioła Ślązaka? – zastanawiałem się na głos. Czy w ogóle jest we Wrocławiu taka ulica? A jest, jest – i pokazuje mi list od znajomego, który podał taki akres na kopercie. Zaprowadziłem go do księgarni „Pod Arkadami" i w książkowym planie miasta odkryłem, że to krótka uliczka na dalekim przedmieściu, na Oporowie, że musi pojechać autobusem pośpiesznym „A" do końca.

Dlaczego nie Angelusa Silesiusa? – zastanawiałem się w domu. No tak, to już Wieszcz Adam spolszczył wrocławskiemu poecie nazwisko (por. „Zdania i uwagi"). Wiadomo zresztą, że nazywał się Johannes Scheffler (1624-1677): urodził się i zmarł we Wrocławiu, natomiast pod łacińskim pseudonimem znany jest w literaturze niemieckiej. (...) Pochowany został w podziemiach kościoła św. Macieja przy ul. Szewskiej we Wrocławiu. Pamiętam, że w l. 1960-1966 prawie codziennie przechodziłem obok kościoła św. Macieja i często zerkałem na niemieckojęzyczną tablicę informującą, iż w tym kościele został *begraben* Angelus Silesius. Pod koniec 1966 r., lub na pocz. 1967 r., tablica znikła i nie pojawiła się do dziś. Wówczas „Ugrupowanie Literackie 66" (którego i ja byłem członkiem) wysłało list do redakcji (bodajże) *Słowa Polskiego* z sugestią, by przywrócono usuniętą tablicę, lub też ufundowano nową, dwujęzyczną, polsko-niemiecką. Co prawda list wydrukowano, ale do dziś na murze kościelnym widać jedynie dziury, w których onegdaj umocowano śruby... A teraz (od stycznia 1992 r.) poeta doczekał się ulicy w rodzimym mieście. Nie tylko ulicy, bo oto pod koniec 1992 r. ukazał się we Wrocławiu, w wydawnictwie „Arhat", wybór wierszy Silesiusa, niestety, pod spolszczonym niepotrzebnie przez Wieszcza nazwiskiem. Wiersze wybrał, przełożył i posłowiem opatrzył znakomity poeta i tłumacz wrocławski (m.in. poezji Rilkego i **Fausta** Goethego) – Bernard Antochewicz. (...) Najgłośniejszy zbiór poetycki Silesiusa, **Cherubinischer Wandersmann**, z którego dystychy przekładał/parafrazował Mickiewicz, ukazał się przed wojną pt. **Pątnik anielski**; w wersji Antochewicza to **Anielski wędrowiec**. Przytoczę tu jeden dwuwiersz (109), dziwnie znowu aktualny:

Człowieku, żądasz, by Bóg cię niebem
obdarzył,
A gdy ciebie proszą o chleb, zaraz robisz
się blady.

(...) Jak podaje w posłowiu Antochewicz, nie warto dziś sięgać do kontrreformacyjnych pism Silesiusa, niech pozostaną w bibliotekach. Choć z drugiej strony: chętnie bym przeczytał przynajmniej jedną pracę polemiczną tego – co tu ukrywać – XVII-wiecznego oszołoma... Po polsku oczywiście.

Dlaczego akurat tę peryferyjną ulicę nazwano imieniem Anioła Ślązaka? Zajrzałem w planie do spisu przemianowanych ulic i wszystko stało się jasne. W 1991 r., gdy Rada Miejska przygotowywała nowe nazwy niektórych ulic i placów (a zmieniono we Wrocławiu po 1989 r. ponad 100 nazw!), ani rajcowie, ani wścibscy reporterzy nie mogli się nigdzie dowiedzieć (nie pomogły apele do czytelników wrocławskiej prasy), kim był Tadeusz Ślężak. Zmieniono więc ulicę Ślężaka na Ślązaka, to przecież brzmi podobnie, choć moim zdaniem Angelusowi Silesiusowi należała się LEPSZA ulica. No tak,

Ślężak czy Ślązak – to jeden czort, jak mówi pewien mój znajomy... *(IV/94*

Dopisek z 1997 r. Nie żyje już tłumacz Silesiusa. Bernard Antochewicz (ur. 1931) zmarł w marcu (?) 1997 r. Nie znam dokładnej daty, bo nekrolog ukazał się tylko w jednej wrocławskiej gazecie, której akurat nie kupuję, więc o jego śmierci dowiedziałem się kilka tygodni później. Tak oto śmierć zasłużonej postaci wrocławskiej kultury nie zwróciła uwagi mediów (także *Odry*). Wiem, Antochewicz był postacią kontrowersyjną, lecz zarazem nietuzinkową: swoimi wierszami (10 zbiorów!) i przekładami literatury niemieckojęzycznej zasłużył sobie na dobre słowo. Nie tylko nekrologowe. Był nie tylko poetą, przez wiele lat także nauczycielem, a w l. 1959-1969 oficerem MO. Jego powiedzonko trafiło do wiersza Wojaczka „Piosenka o poecie II" (cenzura uważnie je przeczytała i zażądała od wydawnictwa wyjaśnień):

Poeta pisze wieczór noc
(hektar wódki jak mówi
B. Antochewicz kapitan MO)

Bartoszu, Bartoszu, oj, nie traćwa nadziei...

Tak śpiewano w XIX w. o Bartoszu Głowackim, słynnym kosynierze spod Racławic, ale nie o nim, czy też o dwusetnej rocznicy Powstania Kościuszkowskiego, ani tym bardziej o wrocławskiej obecnie „Panoramie Racławickiej" chcę napisać. Bo o innym Bartoszu, czyli o Otakarze Bartošu z Pragi, sławiście i poloniście, także tłumaczu literatury polskiej. Niedawno otrzymałem od niego melancholijny list, który skłonił mnie do zadumy nad starymi zwyczajami w nowych czasach (i w Czechach, i u nas).

O Bartoszu Głowackim wiemy wiele: od dwustu lat spoczywa w grobie, legendzie i pieśniach; natomiast o Bartošu znad Wełtawy – niewiele. Otóż Otakar Bartoš (urodzony w 1928 r.) był wieloletnim pracownikiem naukowym Uniwersytetu Karola w Pradze: w 1964 r. został docentem, habilitował się pracą o polskiej literaturze współczesnej. Oprócz rozpraw naukowych publikował wstępy i posłowia do przekładów polskich książek (m.in. był redaktorem i współautorem **Słownika pisarzy polskich** – 1974). Już w 1963 r. przełożył wybrane opowiadania Mrożka pt. **Słoń**, później był m.in. współtłumaczem tomu prozy B. Schulza (1968). Na to wydanie często powoływał się w wywiadach Bohumil Hrabal: proza Schulza zrobiła na nim niesamowite wrażenie. W Polsce nie przeoczono zasług Bartoša: wyróżniony został w 1979 r. Odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej", a w 1980 r. otrzymał nagrodę Polskiego Ośrodka SEC. Ma też – jak wielu innych wybitnych zagranicznych polonistów i tłumaczy – hasło w przewodniku encyklopedycznym **Literatura polska**. A w Pradze? Praska polonistyka nigdy nie była przez władze uniwersyteckie nadmiernie hołubiona; a w ostatnich latach studentów coraz mniej, także dlatego, że dla absolwentów tego kierunku po prostu brak pracy. Po 1968 r., gdy zaczęła się Husakowska „normalizacja", doc. Bartoš został wyrzucony z Komunistycznej Partii Czechosłowacji i nie mógł już liczyć na awans profesorski. I tak miał szczęście: nie wyrzucono go z Uniwersytetu, jak wielu innych docentów i profesorów, o których pisał Hrabal w **Zbyt głośnej samotności**, że pracują m.in. jako kanalarze.

Gdy w 1978 r. przebywałem w Pradze na kilkutygodniowym stypendium literackim, to właśnie Bartoš zapoznał mnie w piwiarni „Pod Złotym Tygrysem" z Bohumilem Hrabalem, o której przed kilku miesiącami – dzięki telewizji CNN – głośno było prawie na całym świecie. To do tej piwiarni prezydent Czech, Havel, zaprosił prezydenta USA, Clintona, na kuflowego pilznera: obydwaj grzecznie rękę podali także stałemu bywalcowi, Hrabalowi, który potem pobyt prezydentów „U Zlatého tygra" opisał przewrotnie w tekście pt. „Braterstwo dla pokoju" i opublikował w postkomunistycznym *Rudym Pravie* (bo dzień wcześniej inny dzien-

nik ów utwór ocenzurował...). A nie tak dawno, bo 28 marca, Bohumil Hrabal (obok autora **Szwejka**, najpopularniejszy na świecie – w Polsce też – pisarz czeski) obchodził 80 urodziny. W Pradze wychodzą od niedawna jego dzieła zebrane, zawierające wersje nieocenzurowane, czy też przeredagowane (więc i polskich tłumaczy czekają nowe zadania: właściwie trzeba całą prozę Hrabala – a ukazało się w Polsce kilkanaście tomów! – spolszczyć na nowo...). Pisze mi Bartoš, że w Sztokholmie i Pradze mówi się, że Hrabal jest jednym z najpoważniejszych tegorocznych kandydatów do literackiej Nagrody Nobla (jestem za!). Pisze mi dalej Bartoš, że pod koniec marca odbył się happening Hrabalowski na Libni, w dzielnicy w której pisarz mieszkał w ciężkich dla niego latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a w której wciąż czynny jest bar „Świat" (znany choćby ze znakomitego opowiadania pod tym samym tytułem). I ja w barze „Świat" piwo piłem w 1978 r. Oto teraz Mistrz Prozy Czeskiej wyznał szczerze, że dziennie wypija 10 kufli piwa...

Ale to nie koniec praskiego listu. Oto Bartoš (jak mi mówił kilkanaście miesięcy temu we Wrocławiu, dokąd przybył na Sesję Mickiewiczowską) od kilku lat nie czuje się najlepiej: stale musi łykać tabletki, więc codziennie może wypić tylko dwa piwa, choć lekarz zabrania mu picia jakiegokolwiek alkoholu. Ostatnio poczuł się jak jeden z bohaterów Kafki: oto 30 września 1993 r. dziekan Wydziału Filozoficznego praskiego Uniwersytetu oznajmił mu, że nazajutrz, czyli 1 października, zostanie „przeniesiony w stan spoczynku". A od czterech lat czekał na obiecaną nominację profesorską; tak oto Bartoš autoironicznie zrymował to wydarzenie:

zamiast profesury
doczekałem się emerytury...

Czyż emerytura, nawet w Złotej Pradze, musi być jak serdeczny kopniak? A może teraz Bartoš będzie miał więcej czasu, by skończyć, zaczęty jeszcze w 1968 r. (i wtedy fragmentarycznie drukowany) przekład **Ferdydurke** Gombrowicza? W każdym razie: mogę jedynie przekazać praskiemu Bartoszowi proste słowa: nie traćwa nadziei, jeszcze piwo nie wypite...

(IV/94)

Dopisek z 1996 r. Mój tekst o Bartošu nie ukazał się w 1994 r.: wysłałem kopię do Pragi. Zadowolony, że o nim pamiętam, odpisał mi, że jak będę w Pradze, to wypijemy piwo „Pod Złotym Tygrysem". Nad Wełtawą byłem przelotnie w lipcu 1994 r.: z Otakarem rozmawiałem jedynie telefonicznie, tego dnia czuł się kiepsko, a nazajutrz nie mogliśmy się spotkać (zostawił dla mnie list w Instytucie Polskim, że będzie pod wieczór „Pod Złotym Tygrysem", ale tam już nie dotarłem). Potem dostałem z Pragi klepsydrę: zmarł 23 sierpnia 1995 r. Nie wiem, co napisali w nekrologach bohemiści i poloniści czescy; nie wiem, czy był wykładowcą wybitnym, czy tylko średnim: ja go będę pamiętał jako miłego polonofila, który miał coś i ze Szwejka, i z bohaterów Hrabala.

Dopisek z 1997 r. I drugi bohater zapisków nie żyje. 3 lutego 1997 r. podczas pobytu w szpitalu, karmiąc gołębie, wypadł z V piętra. Czyli tak, jak zapowiadał na początku 1989 r. w **Zaczarowanym flecie**: (...) *ileż to razy chciałem wyskoczyć z piątego piętra, z tego mojego mieszkania, gdzie ból mi sprawia każdy pokój, (...) tak chciał skoczyć z piątego piętra mój doktor Franz Kafka (...)*. W ostatnich latach Hrabal nie czuł się najlepiej; w telewizji dwa lata temu oglądałem twarz człowieka smutnego, schorowanego. Nie zrezygnował z dawnego stylu życia: stał się niejako zakładnikiem własnej legendy, musiał bywać „Pod Złotym Tygrysem" i w innych piwiarniach/gospodach, nie mógł (nie on pierwszy i ostatni) zawieść swoich wielbicieli... Nie doczekał się Nagrody Nobla, niestety. W l. 1991-1997 ukazywały się w Pradze jego **Dzieła zebrane** (t. 1-19, kilka następnych

ukaże się zapewne niedługo). Jednakże po 1989 r. czescy czytelnicy poniekąd odwrócili się od swojego mistrza prozy: **Dzieła** pojawiały się w małym, kilkutysięcznym nakładzie.

Kartkuję książeczkę Hrabala **Kim jestem** (przeł. A. S. Jagodziński, Wwa 1994) i czytam m.in. takie zdania: *Siedzę „Pod Złotym Tygrysem", bawię się papierową podstawką i wciąż nie mogę się nasycić widokiem emblematu, dwa czarne tygrysy obracają się w mych palcach (...). Siedzę „Pod Złotym Tygrysem", uśmiecham się, przez tę dłuższą chwilę nikogo nie słyszałem, jakbym siedział gdzieś w cichym lesie, ponieważ przebiegłem przez gospody mego życia aż do tej pierwszej knajpy na podnymburskiej wsi.*

I ja mam krążek z tygrysami (na dodatek z autografem pisarza na odwrocie). I jego dedykację, też ze „Złotego Tygrysa", na programie Divadla na Zábradlí („Bambini di Praga" wg Hrabala), w którym ukazał się także „Rukověť pábitelského učně". To tam, „U tygra", Hrabal zgodził się na polski przekład (ukazał się w *Twórczości* – 1979, nr 5 – pt. „Vademecum bawidulskiego ucznia", tłumaczką była – za moją namową – Maria Janusz). Niedawno *Literatura na Świecie* (1997, nr 1/2) ogłosiła nowe tłumaczenie (już bez skrótów) „Rukověť'u": nie porównywałem szczegółowo, ale tłumacz nie wysilił się w wymyśleniu nieco innego tytułu. „Vademecum bawidulskiego praktykanta" brzmi dziwnie znajomo, choć przecież Jan Stachowski miał do wyboru co najmniej kilkanaście odczytań, np. „Poradnik ględzącego terminatora"... Gdzieś zginęła praska ironia. Ale tłumaczenie czyta się nieźle.

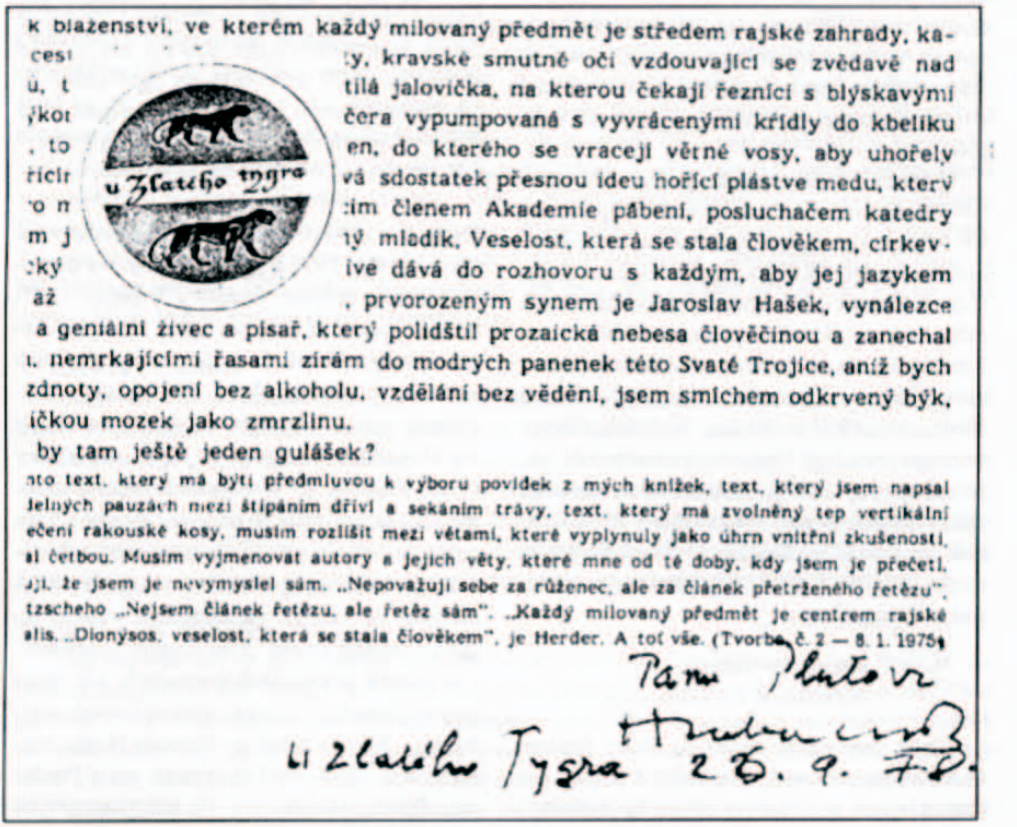

k blaženství, ve kterém každý milovaný předmět je středem rajské zahrady, ka-
cest ... ty, kravské smutné oči vzdouvající se zvědavě nad
ú, t ... tilá jalovička, na kterou čekají řezníci s blýskavými
ýkor ... čera vypumpovaná s vyvrácenými křídly do kbelíku
, to ... en, do kterého se vracejí větné vosy, aby uhořely
řícír ... vá sdostatek přesnou ideu hořící plástve medu, který
o n ... ím členem Akademie pábení, posluchačem katedry
m j ... ý mladík, Veselost, která se stala člověkem, církev-
ký ... ive dává do rozhovoru s každým, aby jej jazykem
až ... , prvorozeným synem je Jaroslav Hašek, vynálezce
a geniální živec a písař, který polidštil prozaická nebesa člověčinou a zanechal
ı, nemrkajícími řasami zírám do modrých panenek této Svaté Trojice, aniž bych
zdnoty, opojení bez alkoholu, vzdělání bez vědění, jsem smíchem odkrvený býk,
ičkou mozek jako zmrzlinu.
by tam ještě jeden gulášek?

nto text, který má býti předmluvou k výboru povídek z mých knížek, text, který jsem napsal
delných pauzách mezi štípáním dříví a sekáním trávy, text, který má zvolněný tep vertikální
ečení rakouské kosy, musím rozlišit mezi větami, které vyplynuly jako úhrn vnitřní zkušenosti,
al četbou. Musím vyjmenovat autory a jejich věty, které mne od té doby, kdy jsem je přečetl,
ují, že jsem je nevymyslel sám. „Nepovažuji sebe za růženec, ale za článek přetrženého řetězu",
tzscheho „Nejsem článek řetězu, ale řetěz sám". „Každý milovaný předmět je centrem rajské
alis. „Dionýsos, veselost, která se stala člověkem", je Herder. A toť vše. (Tvorba č. 2 — 8. 1. 1975)

Panu Plutovi
Hrabal
U Zlatého Tygra 26. 9. 78.

Praha (20 lipca 1994)

Schodziliśmy z H. z placu Hradczańskiego w dół ulicą Ke Hradu do ulicy Nerudy. Nagle po prawej (a po lewej panorama Malej Strany i Starego Miasta) na białym murze widzimy duży napis po polsku. Jedyny. Jakby wiersz erotyczny, napisany grubymi mazakami: *Kocham wszystkie ładne dziewczyny z całego świata*... Toż to pornografia – mówi H. I nie chce zrobić zdjęcia. Opieram się o murek, naciskam guziczek idiot-aparatu. Potem na fotce brak kilku literek. To podróbka wiersza? Ale kogo? Amerykańskiego poety? Czy też to dziełko współczesnej poezji anonimowej? Młodzieżowej? Tu na wysokim murze, kilkadziesiąt metrów poniżej Zamku Praskiego, kiedyś siedziby cesarzy i królów, a obecnie prezydenta Republiki Czeskiej. I są podpisy: *„Zbycholek Brynolek" Polska.* (A inną ręką ktoś dopisał nazwę kapeli: DEZERTER). To chyba nie autorzy, lecz jedynie pisarze...

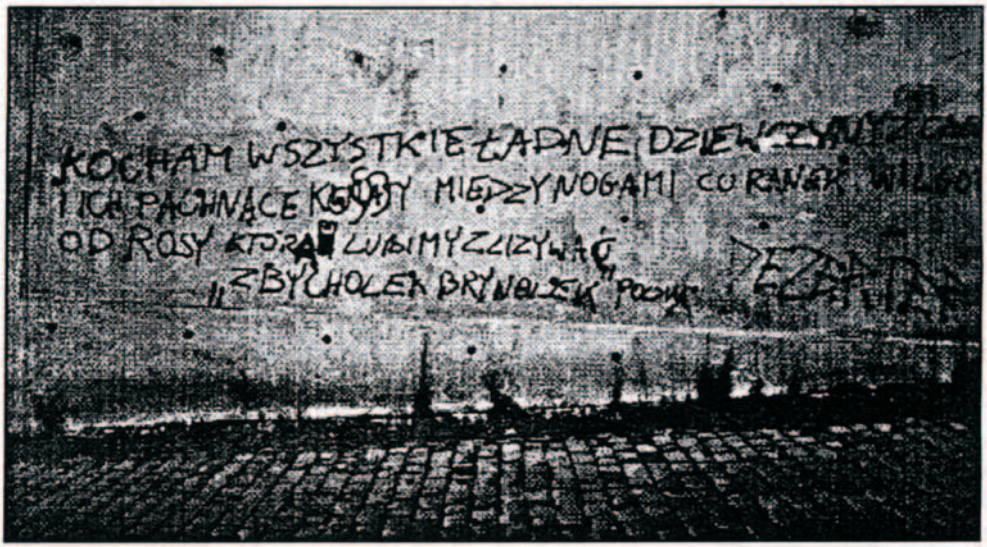

Bulovka (20 lipca 1995)

Zauważyłem je od razu na placyku dworcowym we Frydlancie: tylko kilka osób czekało na autobus. Czarnowłose, szczupłe dwie nastolatki, o czymś tam ze sobą gaworzące po czesku, pstro wystrojone jakby zaraz miały wejść na scenę. Skąd się tu znalazły dwie księżniczki hinduskie? – pomyślałem naiwnie. Wczoraj spotykaliśmy sporo Cyganek, więcej niż u nas, prawie wszystkie wydawały mi się staruszkowate, smutne, jakby nieco przestraszone. Gdy siedzieliśmy pod ratuszem, obok fontanny, przeczytałem w miejscowej gazecie, że kilka dni temu w Usti po meczu piłkarskim ciężko pobito młodego Roma. Już jechaliśmy szeroką, asfaltową drogą na północ, do przejścia granicznego Habartice/Zawidów. Spojrzałem jeszcze raz na ZAMEK: już tu nie przyjadę, panie Klamm. Po kilkunastu minutach autobus nagle skręca w prawo, ja się dziwię, a H. tylko:

– Mówiłem ci, musimy zajechać do Bulovki...

Do Bulovki jeszcze chyba kilometr, już widzimy kościół – autobus się zatrzymuje, a kierowca (teraz spostrzegam, że to już czterdziestak) mówi niezbyt głośno, raczej spokojnie:

– Křižovatka!

Nikt nie chce wysiąść: oglądamy się z H. do tyłu, inni pasażerowie też, dwie księżniczki również. Kierowca, już ostrzej, pyta się, kto kupował bilet za 5 koron, znowu nikt nie wstaje. Ale nie rusza, drzwi z przodu otwarte, w końcu pokazuje ręką na dwie Cyganki, że one mają bilet za 5 koron

i muszą wysiąść, albo dopłacić. Wysiadają bez słowa. Autobus zatrzymuje się na chwilę na placyku obok sklepu i kościoła (jakże on podobny z zewnątrz do tego w rodzinnym Ł.): nikt nie wysiada, nikt nie wsiada, możemy jechać.

– Widziałeś? – pyta H., gdy wysiedliśmy tuż przed szlabanem.

– Widziałem. Brakło im korony?

– Hm, chyba chciały oszukać, cwaniary, a kierowca pamięta, komu sprzedawał bilet. Służbista.

Być może: i służbista, i antyromita? A one, te Romki, takie śliczne, takie beztroskie; gdy wyjeżdżaliśmy z Bulovki, szły powolutku, do sklepu miały tylko kilkaset metrów.

Przecinek w sądzie

Przeczytałem w 1996 r. w *Gazecie Wyborczej* o dwu dziwnych przypadkach przecinka. Przecinka w sądzie. Najpierw o przypadku raczej śmiesznym (choć nie dla oskarżonego i poszkodowanej). Często mówi się eufemistycznie, że ktoś używa słów wulgarnych zamiast przecinka. Nieco się dziwię, bo wulgaryzmy są po prostu wtrąceniami, w piśmie zawsze opatrzonymi przecinkami, nigdy nie są przecinkami właściwymi. Otóż pewna kelnerka poczuła się mocno obrażona, gdy w knajpie podpity znajomy odezwał się do niej (wg jej zeznania) tak: *Czego się, kurwo, czepiasz?* A ona wcześniej zwróciła mu grzecznie uwagę, by się nie awanturował, i nie żądał kolejnego kufla, lecz poszedł do domu, bo dzieci czekają na tatusia. Natomiast oskarżony zeznawał, że o obrazie nie może być mowy, nikogo nie obraził i nie miał zamiaru, ma na to świadków, swoich trzech kumpli, on po prostu powiedział tak: *Czego się, kurwa, czepiasz?* Ów przecinek – argumentował obrońca – nikogo nie obraża, to tylko (prawda, niezbyt grzeczne) wtrącone słowo, które nic nie znaczy. Proces odroczono, bo potrzebna była ekspertyza językoznawcza. Jaki zapadł wyrok? Nie wiem.

Druga sprawa jest naprawdę poważna. Od kilku lat – jak wiadomo – toczy się w Katowicach proces b. milicjantów oskarżonych o strzelanie w grudniu 1981 r. do górników kopalni „Wujek". Sąd musiał przeczytać kilka tysięcy stron różnorakich dokumentów, przesłuchać kilkuset świadków, rozpatrzyć wiele ekspertyz itd. Jednym z ważnych dokumentów jest dziennik sztabowy KW MO w Katowicach. Na prośbę o zgodę na użycie broni, zanotowano odpowiedź zwierzchności: *Nie, czekaj na rozkaz*. I tu wkracza na wokandę przecinek. Czy przecinek wstawiono od razu, czy też później? To b. ważna wątpliwość prokuratury i sądu. Eksperci nie są pewni. Co prawda przecinek został napisany tym samym długopisem, co całe zdanie, ale wydaje się, że całe zdanie – tak tu ważne! – zostało dopisane później. Niestety, nie da się ustalić z całą pewnością kiedy zdanie (a więc i przecinek) wpisano. Nie wiadomo więc, jaką wartość dowodową będzie miał ów – niby niepozorny – przecinek i czy wpłynie na wysokość kar. Wyrok zostanie prawdopodobnie ogłoszony pod koniec 1997 r. Czy w uzasadnieniu będzie też wzmianka o przecinku?

Znowu o słownikach i wulgaryzmach

Na określenie słów wulgarnych istnieje w polszczyźnie sporo zamienników: łacina kuchenna, brzydkie wyrazy, cztery litery itd. Bardzo popularne stały się niedopowiedzenia: kuchnia, kurna, kurde, za Chiny itd. Niedopowiedzenia, przekręcenia, czyli eufemizmy, powstały kiedyś w sytuacji wyraźnego podziału na słowa powszechnie przyjęte za dopuszczalne, w przeciwieństwie do brzydkich, niestosownych, rynsztokowych – jako coś pośredniego. Do pisanej polszczyzny („warstw wykształconych", „literackiej", „ogólnej") wulgaryzmy właściwie nie miały dostępu, mimo że używane były nagminnie w polszczyźnie potocznej. Dbali już o to językoznawcy, słownikarze, nauczyciele, wreszcie – cenzorzy. Brzydkich wyrazów (oprócz kilku) nie ma w wielkich i średnich słownikach języka polskiego. Raczej: nie było, bo w tych wydawanych po 1989 r. już są. Przecież językoznawcy

nie są przyzwoitkami, strażnikami obyczajowości purytańskiej, mają także obowiązek badać język taki, jakim posługują się Polacy tu i teraz. To prawda, coraz częściej słyszy się wulgarne słowa na ulicy, w telewizji i radiu, także w życiu publicznym (słynne wtrącenie marszałka Sejmu w lipcu 97 r., odtworzone w radiu: o kurwa!). Jedni się obłudnie oburzają, inni nie przyjmują do wiadomości: wulgaryzmy w języku polskim po prostu istnieją, tak jak słowa zdrobniałe, czułostkowe, pieszczotliwe itd. Nikt nie powinien obrażać się na językoznawców, że rzetelnie rejestrują stan słownictwa, ani tym bardziej na pisarzy, że korzystają z wszystkich słów ojczystego języka!

Kto zastąpi rodziców, nauczycieli, wychowawców? Toż oni (a nie np. językoznawcy czy pisarze) muszą nauczyć dzieci podstawowych zasad: nie ma brzydkich słów, są tylko słowa niewłaściwie (i w niewłaściwym czasie) użyte! Bardzo mnie ucieszyły wydane w 1996 r. przez Wydawnictwo Naukowe PWN dwie pozycje, które (oprócz **Słownika polskich przekleństw i wulgaryzmów** Grochowskiego) przekonują mnie, że językoznawcy nie chcą być li tylko stróżami moralności językowej, lecz przede wszystkim badaczami języka polskiego, wszystkich jego odmian, a nie jedynie – książkowo-szkolnej. **Słownik polszczyzny potocznej** Janusza Anusiewicza i Jacka Skawińskiego oparty został nie tylko na bogatych źródłach drukowanych, lecz także (co jest chwalebnym odstępstwem od dotychczasowych zasad) na *tekstach zasłyszanych*, a zapisanych przez badaczy. Autorzy odnotowali także wszelkiego rodzaju wulgaryzmy, wyrazy rubaszne, grubiańskie, obraźliwe. Podział na działy nie wydaje mi się najwłaściwszy, ale jest indeks i odnalezienie konkretnego wyrazu nie stanowi kłopotu. Po prostu: dobra robota. Wulgaryzmów jest tu ilościowo więcej niż w książce Grochowskiego, lecz bardziej skrótowo objaśnionych.

Natomiast **Nowy słownik ortograficzny PWN wraz z zasadami pisowni i interpunkcji** (redaktor naukowy: Edward Płoński) zawiera aż około 125 000 haseł. Prof. Jan Miodek nazwał go w recenzji najlepszym z wydanych po wojnie słowników ortograficznych. I tu – co chciałbym podkreślić – nie pominięto najpopularniejszych wulgaryzmów (także w odmianie regionalnej). I słusznie. Po trzykroć słusznie. Wszyscy użytkownicy polszczyzny powinni wiedzieć jak poprawnie pisze się np. chuj (teraz nikt już nie będzie się mógł upierać, że przez samo h!). Czy jednak nauczyciele nie będą przed uczniami ukrywać obydwu słowników, zamiast zachęcać do kupna (np. nazbyt drogich), zamiast je popularyzować, wyjaśniać cierpliwie, kiedy można, a kiedy nie, konkretnego słowa użyć? Przypuszczam, że tak jak o seksie, tak i o wulgaryzmach zapewne w szkole prawie że się nie mówi, choć przecież właśnie młodzi najbardziej bluzgają na ulicy, nie tylko, by epatować/drażnić wapniaków. W **Nowym słowniku** pojawia się m.in. buc. Jeśli w toruńskim *Przeglądzie Artystyczno-Literackim* (1997, nr 4) czytam duży tytuł „Po czym poznać buca", to w krakowskiej gazecie zapewne nie byłoby to możliwe, bowiem w Małopolsce jest to słowo mocno wulgarne, a w Toruniu chyba tylko grubiańskie... I mam też skromną nadzieję, że teraz, gdy **Nowy słownik ortograficzny** dostępny dla wszystkich, anonimowi sztubacy nie będą już pisać na murach i płotach: cioł, hój i bóc... Co prawda błędy ortograficzne od czasu do czasu popełniają wszyscy (czyli ja też!), także językoznawcy, pisarze, nauczyciele, ale nie jesteśmy bezbronni, gdy na biurku leży np. **Nowy słownik ortograficzny**. Szkoda tylko, że **Słownik** jest taki ciężki: w podróży nazbyt uciążliwy...

Henryk Bereza: artysta czytacz/pisarz/mistrz

Nadtytuł „Czytane w maszynopisie" pojawił się w **Twórczości** w 1977 r.: pod koniec prawie każdego zeszytu ukazywały się teksty Berezy, będące omówieniami książek czytanych naprawdę w maszynopisie, czyli recenzjami wewnętrznymi, których druk w prestiżowym czasopiśmie mógł przyśpieszyć edycję książkową. Zazwyczaj omawiane przez Berezę tytuły można było później (po kilku, po kilkunastu miesią-

cach, po kilku latach) zobaczyć w księgarniach, choć niektóre utwory do dziś można jedynie przeczytać (jeśli ocalały!) w maszynopisie. Zapewne nie wszystkie opinie wewnętrzne Bereza drukował w **Twórczości**, nie wszystkie wydawnictwa prosiły go o zdanie, więc wybór tytułów na pewno był przypadkowy, ale po latach (w wydaniach książkowych tych opinii) widać, że te teksty stanowią jedno z najważniejszych wypowiedzi o polskiej prozie współczesnej. W **Biegu rzeczy** (Czytelnik, Wwa 1982) i **Obrotach** (Spółka Wydawniczo-Księgarska, Wwa 1996) ukazało się łącznie prawie 200 omówień konkretnych tytułów i kilkanaście szkiców korespondujących z ich problematyką.

Obroty miały się zresztą ukazać kilka lat temu, pojawiły się dopiero w 1996 r. w mało znanej oficynie, a nie np. w „Czytelniku" czy w PIW-ie, które wydały poprzednio większość książek Berezy. W połowie lat 80. przetoczyła się w czasopismach (głównie w *Literaturze*) dziwna (bo zastępcza!) dyskusja, do której wtrącił się Bereza „Baranoją" (drukowaną wówczas na pierwszej stronie *Polityki*), teraz przypomnianą w **Obrotach**. Jeszcze dziwniejsza toczyła się na początku lat 90. o „czarnej dziurze" w polskiej prozie lat 80. Do 1989 r. Bereza rzadko polemizował wprost: wypowiadał swoje zdanie w recenzjach i szkicach analizując konkretne utwory, całkowicie ignorując „obowiązujące trendy". Już od połowy lat 70. Bereza skupił swoje główne zainteresowania na autorach młodszego pokolenia, którzy nie traktowali literatury jako przede wszystkim służby (wszystko jedno jakiej: społecznej, politycznej, moralnej itd.), lecz... Tu nie dopowiadam. Gdy czytam na nowo (bo przecież czytałem te teksty kiedyś w *Twórczości*) w **Obrotach** zdania o książkach głośnych i całkiem zapomnianych, to ogarnia mnie lekka zazdrość: jakże ci pisarze mieli szczęście, że ich maszynopisy trafiły do Berezy, jak empatycznie potrafi on wczytać się w autorskie przesłania (wiadomo: nie jest to krytyk chłoszczący), znajdując w każdym prawie utworze swoiste właściwości (charakterystyczne są tu także jednowyrazowe tytuły: „Powaga", „Zgrzebność", „Spełnienie"). Każdy tekst Berezy, choć zazwyczaj dotyczy konkretnego utworu, jest zarazem czymś więcej: zamkniętą formą prozatorską, którą można rozpatrywać autonomicznie. Dodam, że niektóre (a może nawet większość!) wypowiedzi Berezy są znacznie ciekawsze (i istotniejsze) od omawianych utworów... Bereza swoje „ja" wypowiada właśnie w recenzjach, szkicach i notach, a nie w powieściach i opowiadaniach: to nie są jedynie teksty paraliterackie, lecz także sensu stricto prozatorskie.

W każdym niemal tekście Berezy pojawiają się zdania-uogólnienia, one to (i te serio, i te ironiczno-polemiczne, jak choćby to zdanie przed laty o Drzeżdżonie, że jest lepszy od Borgesa i Cortazara) wywołują nieraz furiackie niemal polemiki oponentów. Bo też Bereza jest od prawie 20 lat głównym celem uszczypliwości i ataków obrońców literatury „dobrze skrojonej", „do czytania". I co ciekawsze: to nie Bereza atakuje, to on jest atakowany, że wyznaje taką a nie inną hierarchię wartości literackich. Gdy czytam niektóre polemiki (i „polemiki"), to odnoszę wrażenie, że chodzi chyba o jakąś złowrogą sektę, która porywa dzieci, więc trzeba jej – w imię tolerancji – dać odpór... W „Baranoi" są zdania, które warto zacytować: *Prawdziwa literatura była, jest i pozostanie do końca sztuką rękodzieła, nie będzie miało do niej dostępu nic z ersatzu i sztucznego tworzywa, będzie zawsze* ***sztuką poszukiwań, odkryć, błądzeń i nieustannego ryzyka*** *(...), prawdziwa literatura jak koszule z bawełny lub jedwabiu będzie coraz większym luksusem, pseudoliteratura przyjmie się jak nylon, elana i non-iron* [podkr. moje – JP].

Po 1989 r. rubryka „Czytane w maszynopisie" nadal pojawia się w *Twórczości*, ale ma już całkiem inny charakter. To swego rodzaju pismo w piśmie. To nie – jak dawniej – recenzje wewnętrzne, lecz teksty prozatorskie („Oniriada") i polemiczne („Wypiski"), a także listy; teraz Bereza częściej niż dawniej mówi wprost, nie stroni od polemik, ostrych sformułowań. Lekturę *Twórczości* zaczynam zawsze od końca, od uwag Berezy: tu ujawnia się Bereza mniej znany, po prostu mistrz.

Konkurent Pana Boga?

Raczej w niewielkim gronie (ok. 30 osób) spotkaliśmy się 19 grudnia 1996 r. w Domku Romańskim (pl. Nankiera 8) we Wrocławiu na wieczorze poetyckim poświęconym Tymoteuszowi Karpowiczowi, zorganizowanym przez Wydawnictwo Dolnośląskie, Oddział Stowarzyszenia Pisarzy oraz Ośrodek Kultury i Sztuki. Pretekstem były 75 urodziny autora **Trudnego lasu** (ur. 15 XII 1921). Myśmy tu, a Poeta (od 1973 r.) w Ameryce... Ale był obecny we Wrocławiu podwójnie, potrójnie. I w wierszach najnowszych, które czytał Bogusław Kierc, i w wypowiedziach Jerzego Kosa, Krystyny Miłobędzkiej, Marianny Bocian, Bogusława Kierca, Andrzeja Falkiewicza i Janusza Stycznia. To byli ci siedzący przy stolikach, bo potem m.in. Stanisław Pasternak wspominał, jak to wyjeżdżając (chyba w 1972 r.) do Sudanu (opylał tam z samolotu pola bawełny przed szarańczą) zabrał z sobą **Odwrócone światło** i czytał te porażające go wiersze podczas godzin wolnych... Poniekąd był to smutnawy wieczór (nie powiedziałem publicznie ani słowa): prawie ćwierć wieku Karpowicz poza Wrocławiem, jego książek nie ma w księgarniach. Nie ma także częściowo z winy poety: już w 1991 r. miał się ukazać w Wydawnictwie Dolnośląskim wybór wierszy Karpowicza (zapowiadano jego ukazanie i w następnych latach), jednakże... Właśnie: poeta uznał, że nie może się zgodzić na takie (nazbyt konwencjonalne!) przypomnienie, że przygotuje coś nowego, a mianowicie do każdego kiedyś napisanego wiersza stworzy nową wersję. No i – jak wyznał redaktor naczelny Wyd. Dolnośląskiego, Jan Stolarczyk – wciąż czekamy...

Andrzej Falkiewicz – jeden z najwnikliwszych interpretatorów dramatów i poezji Karpowicza – powiedział, że wciąż jest to poezja kontrowersyjna: są tacy, co ją lekceważą, ale i tacy, co wysoko cenią. A ja dodam, że są tacy poeci (niektórych znam osobiście), którzy odbierają wiersze Karpowicza jako niemal osobisty atak... Falkiewicz posłużył się zarazem zaskakującą (a jakże trafną!) formułą: Karpowicz w twórczości literackiej jest konkurentem Pana Boga, chce nazwać rzeczy, zjawiska, przeżycia na nowo, inaczej. Falkiewicz nawiązywał tu zapewne do Genesis, gdzie pojawia się – jak wiadomo – kilkakrotnie zapewnienie: *I nazwał...*, a nie do potocznie rozumianej walki światopoglądowej. Po wieczorze mogliśmy obejrzeć drugą część filmu o Karpowiczu, która w Telewizji Polskiej nie była emitowana. Oto mówił do nas Mistrz Mowy Polskiej o rozumieniu poezji, o nieustannym dążeniu do wyrażania w literaturze głębszego niż potoczne, konwencjonalne, naszego człowieczeństwa.

Pod koniec stycznia 97 r. w liście do jednego z wrocławiaków Karpowicz usprawiedliwiając się, że wciąż nie nadesłał do wydawnictwa maszynopisu wyboru wierszy, napisał: *Całą swoją twórczość przetasowuję, zderzając stare z nowym – niech toczą norwidowski spór – by stworzyć strukturę całościową zbliżoną do struktury „Odwróconego światła" (triady) i „Rozwiązywania przestrzeni"*. A co z poematem polimorficznym? *„Rozwiązywaniu przestrzeni" jeszcze daleko do końca. Ale bliżej niż do nieskończoności.*

Dopisek Piotra Czyżyka. W lipcu 97 r. przebywała we Wrocławiu żona poety, Maria Karpowicz. Przywiozła z Chicago tak długo oczekiwa-

W ubiegłym roku Wrocław oddalił się
od Nowego Jorku o 4 centymetry

Ameryka coraz dalej

ny przez wydawcę maszynopis. Przez kilka minut miałem kopię maszynopisu w rękach. Oto karta tytułowa: **Sloje zadrzewne**. Teksty wybrane. Każdemu znanemu sprzed lat utworowi towarzyszy nowy, czyli – jak podaje poeta – paralaksa. Co to jest paralaksa? Zajrzałem do słownika języka polskiego. Słowo to ma 3 znaczenia, do metody Karpowicza można by chyba odnieść tę definicję (z dziedziny fizyki): *pozorna zmiana położenia przedmiotu wywołana przez zmianę położenia obserwatora*. Wstępem zbiór poprzedzi Andrzej Falkiewicz. Jak mi powiedział red. Stolarczyk, **Sloje zadrzewne** ukażą się w księgarniach za kilka miesięcy, czyli na pewno w 1997 r. Czyli ćwierć wieku po **Odwróconym świetle**.

„Mortalia" w księgarniach jeszcze w tym tysiącleciu?

Mortalia Ernesta Dyczka, część trylogii pt. **Komedia społeczna**, która nie zdążyła się ukazać w 1991 r. w Wyd. Literackim, być może jeszcze w tym tysiącleciu pojawi się w księgarniach. Wiem od autora, że 400 stron maszynopisu już na dyskietce komputerowej i w każdej chwili książka może zostać wydrukowana. Jeśli znajdzie się mecenas... Na razie czytelnicy mogli się zapoznać z 10% powieści: *cztery wyimki z czterech części* **Mortalii** ukazały się w *Odrze* (1997, nr 1).

Krzysztof Nowicki (1940-1997)

Znaliśmy się ponad 30 lat, choć raczej przelotnie. Nowicki w życiu za wzór brał (tak mi się zawsze wydawało) angielskiego (przysłowiowego oczywiście) dżentelmena, ja zaś jestem (prawdziwym, a nie przyszywanym) plebejuszem, więc niejako rozmijaliśmy się i w kontaktach życiowych, i literackich. Pisał wiersze, prozę, dramaty, ale największe zasługi ma – moim zdaniem – jako krytyk literacki i eseista. To on forował (nie tylko w Bydgoszczy) rówieśnika Ryszarda Milczewskiego-Bruna (który nb. pod koniec swego życia jakże szczeniacko odcinał się publicznie od kolegi promotora). Drukował sporo; pisał nieraz – jak wyznał niedawno – o wielu nieistotnych książkach, w których starał się raczej doszukiwać śladów geniuszu niż wskazywać wprost na nijakie zdania. Wiedziałem, że chorował od wielu lat, nie znałem jednak szczegółów, choć przejmująca **Przetoka** (1992) powinna mnie oświecić, nie brałem jej jednak jako utworu autobiograficznego. W listach-eseikach, które były odpowiedzią na kolejne zeszyty *Przecinka*, nie ma nawet aluzji do stanu swego zdrowia. Ale bolały go nowe zwyczaje w życiu literackim: bezwzględność, pomiatanie pisarzami, którzy ukształtowali się w PRL-u, nierzetelność, wręcz nieuczciwość krytyków młodszego pokolenia. Zacytuję tu jakże gorzki fragment listu (z końca stycznia 96 r.), który przysłał mi po lekturze drugiego *Przecinka*:

a tymczasem świat jest pełen tajemnic zastanówmy się na przykład co myślą umarli czytając swoje nekrologi które wypisujemy na kolanach lub przemieniamy je w strumień sentymentalnych wspomnień zapewne nie dowiadują się niczego o sobie czego by nie wiedzieli

coś podobnego przeżyłem w ubiegłym roku kiedy to w zaprzyjaźnionym „Arkuszu" zamiast recenzji z „Drugiego życia" ukazał się nekrolog zatytułowany do tego „Recenzja" autor jest prawdziwym nowatorem gdyż polemizując ze mną nie wymienił ani książki ani nazwiska tak że prawie nikt nie wiedział o co chodzi tyle tylko że autor prezentuje niesłuszne poglądy na temat naszego pokolenia i jego zasług dla przeszłości

piszę o tym gdyż doznałem na własnej skórze co znaczy nieistnienie zdumiało mnie jak łatwo wykonać taką sztukę tekstu nie licząc się z niczym niczego nie rozumiejąc zdawało mi się dotąd że skoro człowiek nie rozumie książki nie powinien o niej pisać ale to widocznie przesąd skoro autor który nic nie rozumie zabiera się do pisania i jeszcze się dziwi cóż takiego się stało

nie odpowiadam poznałem możliwości przyjaciół i to dziwne uczucie gdy czytamy o sobie i nie o sobie jednocześnie więc może myślałem mnie już nie ma tak jestem bezbronny i bezsilny wobec braku wrażliwości

Red. Piotr Czyżyk ze swoim prapra... praprzodkiem (carduelis spinus), tajemniczo zadumany (a może zatroskany)...

Legitymacja nr 44 wydana przez Museum of Hysterics (ważna do końca tysiąclecia)

Imiona kotów obl. gen. (w stanie art.) Leszka Przyjemskiego, dyrektora Museum of Hysterics

BADIA 1981-1990

1) MALEŃSTWO
2) PANICZYK
3) KASIA
4) PŁOMCIA
5) KLUSKA
6) DZIEWCZYNKA
7) MISIO
8) ŁADNA
9) PIMCIA
10) KROPKA
11) MOPSELINA
12) PICCOLLO
13) BELLA
14) ZUZIA
15) KASPER
16) FRANEK
17) COLBERT
18) CIAPEK
19) PUPKA
20) MIMA
21) PETITE
22) PITUŚ

Nie tylko o trzecim „Przecinku"

Znowu ci się udało – powiedział mi smutno znajomy, gdy dawałem mu trzeci *Przecinek*. A potem zadzwonił z pretensją, że powinienem uważniej obserwować Rzeczywistość, bo oto na wrocławskim „Poltegorze" neon z i e l o n y, a nie – jak w *Przecinku* – niebieski. Ależ wiem o tym, u mnie nadal będzie niebieski... I tak się ucieszyłem, że opowiadanko przeczytał (każdy czytelnik na wagę złota?). Chciałbym zarazem sprostować straszny błąd ortograficzny, który pojawił się w drugim *Przecinku* (s. 26): *dla obecnych pseudoksięgaży*... Korektę robili (i to kilkakrotnie): i bohater wywiadu, i ja, i red. Czyżyk i nikt byka nie zauważył. Inny znajomy tak tę wpadkę skomentował: składacz komputerowy nie przepuścił tekstu przez ortografię... Albo ma dyskietkę z błędami?

Kilku czytelników zaintrygował skrót w rękopisie „Walca żałobnego" Wojaczka (por. notę „To jest ból..."). Jak to *p.* odczytywać? Dlaczego go nie rozwiązałem? Czy chodzi o popularne słowo zaczynające się na tę literę? Takie przypuszczenie wyraziła w liście do *Przecinka* czytelniczka z Sandomierza (jak się podpisała: studentka angelologii na KUL-u). Wyjaśniam: jest to rzeczownik odczasownikowy; odnotował go **Nowy słownik ortograficzny PWN** (s. 542, w. 19 od dołu).

Pierwsze egzemplarze *Przecinka* trafiły do czytelników w połowie listopada 96 r. Osobną notę (wraz z reprodukcją okładki) poświęciła temu zeszytowi *Gazeta Dolnośląska*, dod. do *Gazety Wyborczej* („Przecinek" za „Przecinkiem", 30 XI-1 XII 1996, nr 279). Kryptonimowy autor (PL), mimo pewnych wyższościowych akcentów (*ciekawostka i rarytas bibliofilski bardziej niż (...) intelektualna trybuna; papierowy gadżet*), sympatycznie polecił czytelnikom *Przecinek*. P. Czyżyka ucieszyło, że autor noty dał słowo, *że można (...) poczucie humoru Pluty polubić i dobrnąć do ostatniej strony bez uczucia znużenia*, bo ciągle musi znajomym wyjaśniać, że Szef (czyli ja) wcale takim ponurakiem, na jakiego wygląda, nie jest... Również *Gazeta Dolnośląska* (nr 298 z 23 XII 1996) ogłosiła bezpłatnie na s. 2 (w rubryce „Komunikaty") moją prośbę o poszukiwaniu mecenasów (zob. reprodukcję). Merci, merci! Już jestem wyleczony: nie odezwał się ani jeden mecenas. Miesiąc później przeczytałem w *Wieczorze Wrocławia* (30 I 1997) taki inserat: *Zasponsoruję miłą blondynkę*. Chciałem zatelefonować, ale przypomniałem sobie, że *Przecinek* nie jest nawet urocza brunetką. Do dziś się trapię: ile blondynek odezwało się na wezwanie sponsora? No tak, nie sponsorów, lecz mecenasów poszukuję!

I tym razem (czyli po raz trzeci) *Słowo Polskie* (nr 12 z 15 I 1997) odnotowało pojawienie się kolejnego zeszytu („Przecinek" o kawiorze i biedronce). (B. S.) zauważa: *Magiczna i kolorowa aura konkretu unosi się nad „Przecinkiem"*. (...) *Ważne jest wszystko, co nas otacza – mówi Pluta – nawet tonąca w słoiku z moczem biedronka*.

była organizacja II Światowego Kongresu poświęconego chorobom dzikich zwierząt. Przyjechali wówczas do Wrocławia przedstawiciele 18 państw z całego świata. Bardzo im się nasze miasto podobało.

KG

można także wpłacać na konto: Wielkopolski Bank Kredytowy SA O/Wrocław, nr 359209-979364-132-0.

PISMO LITERACKIE SZUKA MECENASÓW. Redakcja pisma literackiego Jerzego Pluty „Przecinek" poszukuje mecenasów (papier, usługi poligraficzne) oraz kupi lub przyjmie w darze używany komputer (notebook), tel. 61 75 39.

CZEKAMY NA WASZE PROPOZYCJE

Wybieramy wydarzenia roku

Natomiast w dolnośląskim roczniku literackim *Pomosty* (I: 1996, Wr. 1997) Andrzej Dzierżanowski ogłosił notę „Małe jest duże". W wielce pozytywnym tekście autor ma także wątpliwości: *Ubolewa np. nad użyciem słowa „szmal" w wierszu, sam jednak od wulgaryzmów nie stroni.* I dodaje: *Chyba że inaczej nie można.* Odpowiadam: zawsze można inaczej. I zawsze bywa nie tak...

Tak jak i poprzednio, otrzymałem sporo (ok. 50) listów/telefonów: i pochwał, i upomnień, i polemik. Zadziwiło mnie m.in. takie zdańko: *Jednak nie za bardzo widzę ten wiersz Meleckiego: jest to raczej ściągnięte z filmu „Zmiennicy", gdzie był taki epizod* (19 XI 96). Takich epizodów było wiele, przede wszystkim w życiu. A w wierszach? Na koniec zacytuję dwa fragmenciki listów tak bardzo entuzjastycznych, że aż... Tak, podpuchowatych. *Nadszedł trzeci „Przecinek". Zaraz czytam, zaraz się entuzjazmuję aż tak, że zmęczyłem się i napisać o tym nie umiem (13 XI 96). Czyta się jak burza nad Azją, a już na pewno nad Wrocławiem, chwilami ciekawsze, niż cały rocznik „Odry" razem wzięty. Mam pomysł – zróbmy z tego „Przecinka" pismo ogólnopolskie, z rozmachem światowym* (18 XI 96).

Też mam Nobla! Mniejszego...

Nagroda Kościelskich to taki mniejszy – i tylko polski – Nobel dla pisarzy do 40. roku życia. Tak jak istnieje kategoria pisarzy – wiecznych kandydatów do Nobla, tak [redacted] od lat uchodził za murowanego kandydata do Kościelskich.

Wszystko się zgadza: *mniejszego Nobla* (czyli Nagrodę Fundacji im. Kościelskich w Genewie) dostałem dawno temu; w albumie numizmatycznym pozostały mi jedynie dwie monetki (5 i 20 centimes, z napisem: *Confoederatio Helvetica*), które wydano mi 12 września 80 r. w Genewie na poczcie przy rue du Mont-Blanc, teraz czekam – jak i 2000 polskich pisarzy i literatów – na prawdziwego Nobla...

Jak mnie poinformował poufnie red. Piotr Czyżyk – który był w grudniu 96 r. specjalnym wysłannikiem *Przecinka* na uroczystości wręczenia Wisławie Szymborskiej Nagrody Nobla, jednakże nigdzie go nie wpuszczono (jedynie do księgarni, ale tam właśnie Laureatka nie przyszła, bo musiała odpocząć przed oficjalnym spotkaniem z Królem Szwecji), bo nie miał fraka i przepustki – na liście kandydatów do Literackiego Nobla znajdowało się (pod koniec listopada 96 r.) 75 857 nazwisk.

Skąd ta wiadomość? Otóż Biblioteka Akademii Szwedzkiej gromadzi na bieżąco komputerową listę kandydatów do Nobla. Co miesiąc dane się uaktualnia: skreśla nazwiska pisarzy zmarłych, dopisuje nowe (np. laureatów różnorakich nagród, polecenia dotychczasowych noblistów itd.). Red. Czyżyk spotkał w Sztokholmie znajomego z czasów paryskich, który zaprowadził go do szwedzkiego znajomka, jak się później okazało: genialnego hakera, który nieraz włamał się do noblowskiego komputera i w każdej chwili może powiedzieć, kto jest na liście kandydatów (i na którym miejscu, z dokładnością do jednego nazwiska).

Tak oto teraz i ja też wiem, że aż 839 polskich pisarzy kandyduje do Nobla, że największe szanse otrzymania Nagrody w najbliższych kilkunastu latach mają: Tadeusz Różewicz, Tymoteusz Karpowicz, Zbigniew Herbert, Stanisław Lem, Sławomir Mrożek (ich nazwiska w pierwszej pięćdziesiątce, obejmującej ok. 700 osób), że laureaci „mniejszego, polskiego Nobla" też tam figurują. Bez fałszywej skromności mogę z dumą podać, że moje nazwisko na 3748 pozycji, na której także 479 osób, w tym 3 poetów z Wysp Owczych.

Przeczytałem w gazecie!

622 upadki komara

Do walki z krwiopijcami ruszyło siedmiu mężczyzn ubranych w jasne kombinezony, z kilkunasto-

Książki zakupione, nadesłane, pożyczone...

Nie tylko ja boję się zaglądać do księgarni: tam tyle książek, które chciałbym mieć, choćby tylko po to, by je oglądać (np. albumy o sztuce), kartkować, czytać przypadkowe strony itd., a tu w miesiącu mogę kupić 2, 3 tytuły... Niektóre więc pożyczam od znajomych (rzadziej z biblioteki). Czasem przynosi je poczta: to książki nadesłane do *Przecinka*, do mnie, do P. Czyżyka. Spis to więc poniekąd przypadkowy, wyrywkowy.

Muszę zacząć od książki w języku niemieckim. To potężny (264 strony formatu 24 x 30 cm) „Katalogbuch" **René Magritte**. Die Kunst der Konversation (Prestel, München-New York 1996). Na wystawę Magritte'a do Düsseldorfu nie mogłem w marcu 97 r. pojechać, teraz mogę podziwiać wspaniałe reprodukcje i, patrząc na wspaniałe jabłko, powtarzać za malarzem: *Ceci n'est pas une pomme*...

Wrocławski Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich nie zaniedbuje edycji prac swoich członków (i kandydatów na członków). W 1997 r. ukazał się t. 1 (1996) „dolnośląskiego rocznika literackiego" *Pomosty*. Wiersze, proza, teksty krytycznoliterackie, obszerna kronika – nic więcej nie dodam, bo tam i moje 2 małe prozy... W serii V Biblioteki Wrocł. Oddz. SPP (OKiS 1997) ukazało się 7 pozycji: aż 3 debiuty poetyckie (Rafał Brasse, **Rwane linie**; Filip Zawada, **System jedynkowy**; Jerzy Wojciechowski, **Kruchy rozejm**), kolejne zbiory Jarosława Brody (**Listy do żywych i umarłych**) i Bogusława Kierca (**Raz Na Zawsze**), a ponadto „wyborek" (taki podtytuł, dodam: wyborek z *Odry*) próz **Osobnego sny i przypowieści** Urszuli Kozioł i „zwięzły opis spraw literatury lat 90." **Autokreacje i mitologie** Mieczysława Orskiego. Również w Bibliotece Wrocł. Oddz. SPP ukazała się „antologia młodej poezji dolnośląskiej" **Imiona istnienia** (wybór i oprac.: K. Maliszewski, M. Orski, OKiS 1997). Natomiast w Bibliotece Koła Młodych Pisarzy (przy Oddz. SPP) ukazały się (OKiS 1997) dwa arkusze poetyckie (Marcin Kurek, **Monolog wieczorny**; Tadeusz Lira-Śliwa, **Wiersze przebrane**). Czyli: coś się rusza we Wrocławiu!

Dzienniki Zofii Nałkowskiej kupuję nadal, chyba doczekam końca edycji (jeszcze w tym wieku?). T. V (1939-1944), jak i poprzednie, pieczołowicie opracowany (czy to właściwe słowo?) przez Hannę Kirchner (Czytelnik, Wwa 1996). Tutaj chapeau bas, natomiast nie mogę tego uczynić po lekturze redagowanej przez H. Kirchner księgi **Miron**. Wspomnienia o poecie (Tenten, Wwa 1996). Jeśli przypisy i komentarze w **Dziennikach** Nałkowskiej są niekiedy nazbyt obszerne, to w **Mironie** nie ma ich prawie wcale (a jakże byłyby potrzebne na każdej prawie stronie!), nie ma not edytorskich (teksty wspomnień drukowane były w różnorakich pismach, nadawane w radiu), nie ma indeksu nazwisk i indeksu tytułów utworów Białoszewskiego. Ale mimo tych braków, książka to fascynująca; szkoda tylko, iż nie ma tu żadnego tekstu Leszka Solińskiego (zapewne to on odmówił, czytelnik jednak o tym nie wie).

Mickiewicz Jacka Łukasiewicza (Wyd. Dolnośląskie, Wr. 1996) nie wymaga rekomendacji: trzeba być naprawdę odważnym, by napisać popularną, jednak nieczytankową, biografię Wieszcza. Łukasiewiczowi udało się to znakomicie, także dzięki bogatej ikonografii.

Kolejna książka Michała Głowińskiego zainteresuje zapewne mniejszy krąg czytelników niż poprzednio wydane *komentarze do słów*, to „studia o młodopolskiej krytyce literackiej" **Ekspresja i empatia** (Wyd. Literackie, Kr. 1997). I tu niespodzianka: badacz traktuje teksty krytyczne jako *samoistne dzieła*. Mam nadzieję, że inni badacze, idąc wzorem autora **Powieści młodopolskiej**, przeczytają np. teksty Henryka Berezy jako samoistne dzieła sztuki literackiej, a nie tylko jako wypowiedzi o konkretnym utworze.

Eseje Zbigniewa Bieńkowskiego **Przyszłość przeszłości** (Wyd. Dolnośląskie, Wr. 1996) to jak sycenie się wodą prosto ze źródła. Kto tak jeszcze potrafi pisać o poezji? Także w swoich pomyłkach był wielki: o **Odwróconym świetle** Karpowicza wypowiadał się w Kulturze niechętnie, a pod koniec lat 80. napisał w *Tygodniku Kulturalnym*, że wiersze (no kogo?) Jarosława Markiewicza są bardziej odkrywcze od Karpo-

wicza... Nie ma tych tekstów (jak i o Szymborskiej) w tej książce.

Niewątpliwie „wybór esejów 1970-1995" Stanisława Barańczaka **Poezja i duch Uogólnienia** (Znak, Kr. 1996) budzi mój nieklamany szacunek (muszę dodać, że uważam go za znacznie wybitniejszego krytyka niż poetę). Jednakże dziwię się nieco, że tak zapracowany profesor Harvardu ma czas na pisanie o głupstwach (por. szkic o „sprawie Ch. Wolf"). Może Amerykanom warto wyjaśniać, ale polskim czytelnikom?

Międzyepoka Juliana Kornhausera (Baran i Suszczyński, Kr. 1995) po raz kolejny przekonuje mnie, że najmądrzej, najwnikliwiej o wierszach piszą poeci. Któż lepiej zanalizował np. **Ludzi na moście** Szymborskiej? Albo najnowsze zbiory Zagajewskiego?

Nie mogę nie wspomnieć o książce Tadeusza Budrewicza **Zygmunt Trziszka**. Plebej na rozdrożu (Wyd. Naukowe WSP, Kr. 1992). Też jestem z plebejów, a ponadto cenię kilka książek Trziszki (a napisał ich sporo), więc książka mnie zainteresowała. Ciekaw jestem, co autor napisałby o metamorfozach literackich autora **Happeniady** po 1989 r.

Książeczka Bohumila Hrabala **Czuły barbarzyńca**, o przewrotnym podtytule: Teksty pedagogiczne (przekład: A. Kaczorowski, Świat Lit., Izabelin 1997), to swoista pułapka: miłośników ubawi, natomiast sięgających po Hrabala po raz pierwszy może odstręczyć. To tylko przypis, który wymaga obszernych polskich przypisów...

Oto 5 tomików poetyckich: Janusza Stycznia (**Groza wtajemniczenia**, Przedświt, Wwa 1996), Juliana Kornhausera (**Kamyk i cień**, a5, Poznań 1996), Kazimierza Nowosielskiego (**Z księgi darów**, Marabut, Gdańsk 1997), Macieja Meleckiego (**Te sprawy**, Cracovia, Kr. 1995), Stanisława Melskiego (**Stasiu proszę kup**..., Continuo, Wr. 1996). Stycznia nie trzeba zachwalać, to wciąż poziom „na Nobla". Tylko kto go przełoży na szwedzki i niemiecki? Kornhauser dawno już, pod koniec lat 70., przestał być kontestatorem naiwnym (jak w pierwszych zbiorach). Tutaj motywy śląskie i żydowskie lepiej rozumiem po lekturze autobiograficznego **Domu**... Co rusz przypomina mi się dystych z najsłabszego chyba wiersza zbioru („Kafka"):

w Pradze na Václavaku
nikt Kafce nie daje znaku

Wiersze Meleckiego w zbiorze robią na mnie mniejsze wrażenie niż czytane w małych porcjach w czasopismach: poeta jednak nie ufa całkowicie szczegółowi, unika konkretnych nazw miejsc, dat. „Koniec jazdy" błyszczy tu jak brylant.

I na moje biurko trafił **Trzeci almanach jeleniogórski** (wybór i oprac.: J. Lukasiewicz, S. Bednarek, JTSK, Jelenia Góra 1997). Sporo tu tekstów nijakich, ale też kilkanaście całkiem nieniedzielnych (m.in. niektóre wiersze H. Cychol, R. Gruchawki, J. Hanca, J. Marczyńskiego).

Bydgoska Galeria Autorska Jana Kai i Jacka Solińskiego wydała w 1996 r. kilka książeczek-katalogów. Tak wytwornie, że aż za bardzo. Oczywiście, to słowa podyktowane życzliwą zazdrością. Oto **Aniol i góra** (Krzysztof Kuczkowski, wiersze z lat 1980-1995, Jacek Soliński, linoryty z lat 1986-1994), oto **Podróżnicy sumienia** Jacka Solińskiego, oto **Wielki Tydzień** Jacka Solińskiego, oto **Przedświt** Jana Kai.

Muszę także wspomnieć o 2 książkach, które dotykają mnie niemal osobiście. To szkice Krzysztofa Karwata **Ten przeklęty Śląsk** (Tow. Zachęty Kultury, Katowice 1996) i dokumentacyjna książka Zygmunta Woźniczki **Z Górnego Śląska do sowieckich łagrów** (Śląsk, Katowice 1996). W 1945 r. miałem 3 lata i wówczas nawet nie zauważyłem, że ojca nie było w domu prawie 8 miesięcy: odbył najdłuższą w swoim życiu podróż, co prawda nie na Syberię, lecz „tylko" na Ukrainę, pod Kirowograd.

Dopisek Piotra Czyżyka. Dopisuję po zamknięciu nru. Właśnie dostałem **Dziennik pozorny** Karola Maliszewskiego (Abakart, Sopot 1997). Zapiski z l. 1994-96, czyli refleksje o poezji i Życiu. Poeta wyznaje, że lubi *głuchą prowincję*, choć między wierszami można wyczytać, że jest to miłość bez wzajemności. Jak u Bruna... Wzruszające zdania o Marku Jodłowskim. Po prostu mądra książeczka.

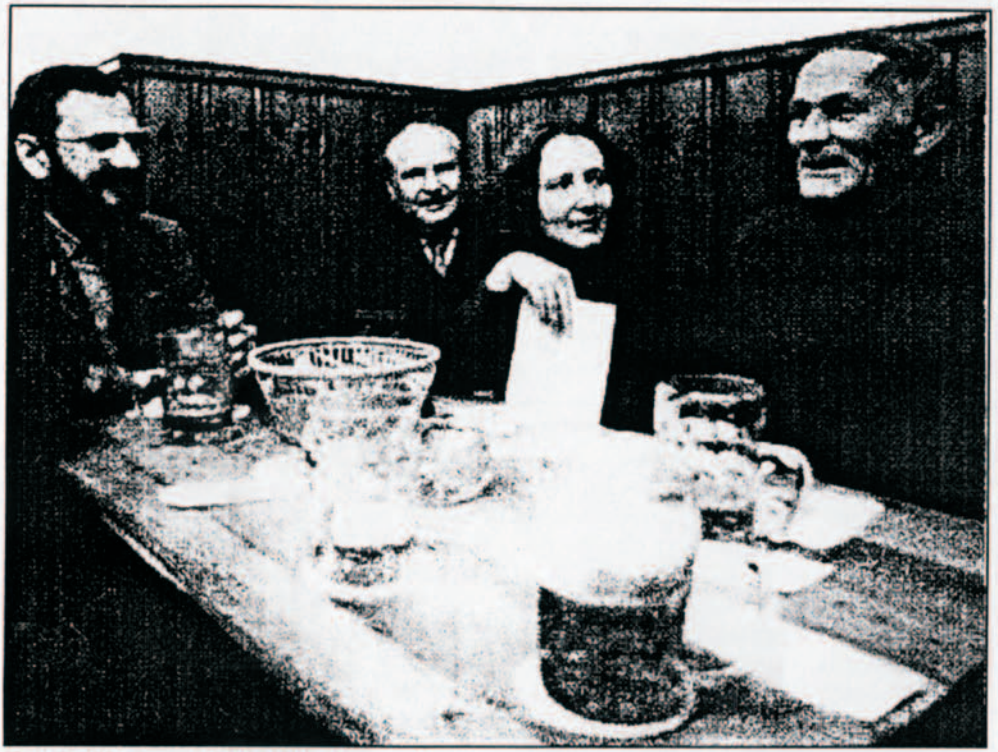

Z Hrabalem „U Zlatého tygra"

O piwiarni „Pod Złotym Tygrysem" – w przeciwieństwie do baru „Świat" – nie słyszałem chyba przed przyjazdem do Pragi w połowie sierpnia 1978 r. To nieduża piwiarnia przy ul. Husa, niedaleko Rynku Staromiejskiego, gdzie podaje się beczkowy pilzneński „Prazdroj" (już nie pamiętam, ale chyba dwunastkę). Zachodziłem tam przed czwartą, najpierw z prof. Bartošem, potem sam i siadałem w drugiej, małej salce, gdzie tylko dwa nieduże stoły. W każdy wtorek ten większy był zarezerwowany dla Bohumila Hrabala i jego gości. Na początku września 1978 r,. Hrabal wrócił z wczasów na Cyprze (był to wówczas pierwszy zagraniczny wyjazd po 1968 r.) i co wtorek przychodził do „Złotego Tygrysa". Piłem kuflowe piwo (choć jestem prawie abstynent) – jedno, drugie, trzecie... – i przysłuchiwałem się opowieściom: i Hrabala, i jego znajomych. Poznałem tam kilkanaście osób, których nazwiska odnajdywałem później w tekstach Hrabala. Po kilku moich pobytach „Pod Złotym Tygrysem", Hrabal zgodził się na udzielenie mi wywiadu (opisałem te spotkania szerzej w szkicu pt. W każdy wtorek „Pod Złotym Tygrysem", *Literatura* 1979, nr 32).

Pod koniec 1978 r. nadeszła do Wrocławia przesyłka z dwoma zdjęciami: obydwa zrobione 10 października 1978 r. Na jednym autor **Postrzyżyn**, na drugim (zob. wyżej) kilka bywalców piwiarni. Pierwszy po prawej – główny uczestnik wtorkowych spotkań. Druga od prawej – Susanne Roth, bohemistka szwajcarska (w Zurychu autorka pracy magisterskiej o prozie Hrabala), tłumaczka Hrabala na niemiecki, jedna z bohaterek (Zuzanna) późniejszych **Listów do Kwiecieńki**. Wg testamentu, sporządzonego przez Hrabala w USA w maju 1989 r., stała się ona posiadaczką jego praw autorskich poza Czechami. Trzeci od prawej: Karel Marysko, przyjaciel Hrabala, poeta, muzyk (w 1978 r. wiolonczelista w Národním Divadle), wspominany w wielu utworach (m.in. w **Czułym barbarzyńcu**, **Kim jestem** i **Listach do Kwiecieńki**). Czwarty od prawej to autor **Stu czyżyków**, który właśnie otrzymał z Wrocławia pierwsze egzemplarze tej powieści i wciskał je niektórym bywalcom „Złotego Tygrysa", także Hrabalowi... Autor **Slavnosti sněžence**, które na początku października 78 r. pojawiły się w księgarniach, a które i mnie podarował „U Zlatého tygra", popatrzył na okładkę, na fotkę autora i uśmiechnął się: jezevčík. Ano, to jest Borgis – odpowiedziałem skromnie. Krátkosrstý...

Podszedł do
mnie na ulicy
nieznajomy i od
razu powiedział:
jesteś już
skreślony!
Ja?! Kiedy?
Dlaczego? Ja?
Za co? Po co?